

JENNIFER GREENE

Kapryśna dama

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Kochaj się ze mną, Clay.

Clay właśnie wsuwał prawe ramię w rękaw dżinsowej kurtki, kiedy z kanapy dobiegł go wyrazisty kobiecy szept. W miękkim, sennym alcie pobrzmiwała nutka szaleństwa.

Głos Liz Brady zawsze doprowadzał mężczyzn do utraty zmysłów. Miała, jak się okazało, żelazny organizm. Ta kobieta dawno już powinna całkowicie opaść z sił. Przed laty Liz uznawała co najwyżej kieliszek wina dla towarzystwa, zaś podczas ostatnich czterech godzin doprawiał jej lemoniadę taką ilością wódki, która każdego zwałiby z nóg.

- Clay?

- Słyszałem, kochanie. - Lewe ramię weszło gładko, skończył naciągać kurtkę. Poczul zaniepokojenie na widok szczupłej, zgiętej nogi w pończosze, wyłaniającej się zza oparcia kanapy. Clay przeżył już niejedno. Ale teraz uznał, że jego doświadczenie nie wystarczy, aby poradzić sobie z prężeniem się palców stóp, delikatnością kostki oraz nieskazitelnym kształtem łydki.

Na szczęście noga zniknęła, zaraz jednak po przeciwnej stronie kanapy pojawiła się owalna twarz z subtelnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Wspaniałe, jedwabiste, platynowe włosy ledwie sięgały ramion. Oczy były ciemniejsze niż kawa i czulsze niż noc. Liz z pewnością na co dzień wyglądała jak kompetentna,

dwudziestosiedmioletnia bibliotekarka. Lecz nie tej nocy. Żadna kobieta nie ma prawa prezentować się równie bezwstydnie, równie... prowokująco.

Deja-vu poraził go niemal jak piorun. Mężczyzna nie powinien powtórnie przeżywać niektórych spraw. Kiedy poprzednim razem Liz usiłowała go uwieść, miała siedemnaście lat i była gotowa na wszystko. Wyobrażał sobie, że musiały minąć całe miesiące, zanim zdobyła się na odwagę kupna prezerwatywy w miejscowej drogerii. Już wtedy Liz uważała, że nie należy dać się życiu zaskoczyć.

Wyglądało na to, że teraz jest zdecydowana doprowadzić go bez mała do poważnego ataku serca.

- Clay...

Śpiew mitycznych syren, które wabiły żeglarzy, wydał się Clayowi mało przekonujący w porównaniu z głosem Liz.

- Idę, kochanie - zgasił nocną lampkę i ruszył ku niej. Dziesięć lat temu Liz charakteryzowała przedziwna mieszanina tupetu, świeżości i słodyczy. Uwielbiał ją wówczas, lecz nigdy nie czuł się szczęśliwszy niż wtedy, gdy wyjechała na studia. Podczas rzadkich chwil, kiedy zaglądała do Ravensport, starannie usuwał się jej z drogi. Choć nie tknął jej wówczas, gdy miała siedemnaście lat, w głębi serca wiedział, że zawsze tego pragnął. Upływ czasu niczego nie zmienił. Ale cóż, przegrani nie sięgają po damy. Bez względu na to, jak dalece prowokujący był jej senny uśmiech, jak porywcze ruchy, Liz zawsze pozostanie damą. Chociaż w tej chwili o tym po prostu nie pamiętała.

Przejęła się ku niemu. Ściągnięte w zamyśleniu brwi zdawały się wskazywać, iż w jej głowie toczy się ciężka batalia. Musiała jednak w pewnym momencie

zgubić wątek, bo gdy wreszcie dosięgnęła Claya, wymruczała:

- Halo.

Omal się nie roześmiał. Zagarnął ramieniem jej barki, aby uchronić osuwające się, chwiejne ciało przed upadkiem.

- Halo - odmruknął.

- Sprawa ma się tak, Clay - przerwała i ziewnęła, - że zawsze cię kochałam.

- Oczywiście, że mnie kochałaś - odparł, prowadząc ją w stronę drzwi.

W połowie drogi jej stopy wrosły nagle w podłogę. Jedna z delikatnych, jasnych brwi uniosła się ku górze.

- Zdaje mi się, że pamiętam... już to przedtem robiliśmy...

- Hmm... hmm...

- Byłam mężatką, nie wiedziałeś?

- Tak. - Słowa Liz zlewały się do tego stopnia, że z trudem mógł ją zrozumieć. Zresztą, skupiał się raczej na prowadzeniu w kierunku wyjścia stawiających mu opór czterdziestu dziewięciu kilogramów.

- Ale już nie jestem.

- Wiem.

- Małżeństwo - zdawała się zastanawiać nad doborem słów - to twardy orzech do zgryzienia.

- Też to słyszałem. - Liz mocno gestykulowała, zupełnie jakby brakowało jej słów. W połowie drogi do holu obróciła się, oplatając ramionami szyję Claya, po czym wlepiła zamglony wzrok w jego pełne niepokoju oczy. Zakołysała biodrami, a ten ruch sprawił, że ciśnienie krwi Claya gwałtownie wzrosło.

Odgarnął z jej czoła jedwabistą grzywkę, starając się odnaleźć w pamięci obraz siedemnastoletniej,

wiecznie pogrążonej w lekturze nimfy z warkoczykami. Pełen dumy i niewinności podłotek wyzwał wóczas w mężczyźnie opiekuńcze skłonności. Świat zmienił się przez tych dziesięć lat, podłotek stał się kobietą, lecz Clay czuł, że ogarniają go dawne pragnienia.

Nigdy by nie przypuścił, że tego wieczoru natknie się na Liz. Wprowadzie stale widywał się z jej bratem, lecz Andy ani razu nie wspomniał o rozwodzie siostry, ani o tym, że zamierza ona przyjechać do domu na dłużej. Dzisiejsza wizyta Claya była niespodziewana i, gdyby miał więcej rozumu, zostawiłby brata oraz siostrę samym sobie pod rodzinnym dachem.

Ale rozsądek nigdy nie był jego mocną stroną. Dotknął dłonią pobladłego policzka Liz. Była tak piekielnie chuda, iż każdy powiew wiatru mógł ją zdmuchnąć. Już od pierwszego rzutu oka zrozumiał, że jest krańcowo wyczerpana i niebezpiecznie bliska załamania. Nie umiała się pozbyć sztucznego uśmiechu, nie mogła przestać mówić, nie potrafiła też opanować gestykulacji. Miała podbite oczy, a cerę bielszą niż papier. Andy rzucił mu bezradne spojrzenie. Zupełnie nie wiedział, co począć z kobietą w tym stanie nerwów.

Clay wiedział. Trunek powinien zrobić swoje. Doprawił jej lemoniadę, gdyż pamiętał, jak bardzo lubiła taki napój. Zapomniał jednak, że nie miała mocnej głowy.

- Pocałuj mnie, Clay.

Posłusznie musnęła jej usta. Lecz ogarniające go szaleństwo nie udzieliło się Liz. Usta miała nieduże, z wyraźnie zarysowaną górną wargą, dolna była zdecydowanie pełniejsza. Delikatna, wygięta w łuk szyja jakby domagała się gorących pocałunków kochanka.

Szorstkim kciukiem przesuwiał piśczętliwie po jej

szyi, zostawiając ślady na wrażliwym ciele. Liz smakowała jak egzotyczny owoc, pachniała jak wiosna. Gdyby jakiś mężczyzna doprowadził ją do rozpacz, byłby z pewnością najszczęśliwszy, zmykając, gdzie pieprz rośnie.

- Do łóżka - mruknął.

- Tak. Och Clay, potrzebuję...

- Wiem dobrze, czego potrzebujesz, kochanie - objął ją mocniej ramieniem. W pantoflach na wysokich obcasach sprawiała wrażenie raczej wysokiej, natomiast boso była drobniutka. Nosiła kostium w wąskie, koralowe i szare prążki, czerwoną jedwabną bluzkę oraz odpowiednio dobrane klipsy. Ten strój, z pozoru tak zasadniczy, był zarazem kobiecy i dystygowany.

Poprowadził swoją damę w stronę sypialni. Wiedział, gdzie się znajduje, na dobrą sprawę wychował się przecież w tym domu. Sypialnia Andy'ego mieściła się u szczytu schodów, zaś pokój Liz, dawniejsza weranda, położony był w tylnej części domostwa.

Nie miał czasu na zapalenie światła. Odwróciła się ku niemu, uśmiechając się ufnie, a zarazem prosząco. Jej biodra ponownie wykonały jeden z tych ruchów, który skłoniłby nawet mnicha do zrzucenia habitu. Clay nawet nie próbował być mnichem.

- Chcesz mnie, prawda, Clay? - wyszeptała.

- Tak. - Nigdy nie kłamał kobiecie w sypialni. Zresztą, Liz nie była w stanie zapamiętać czegokolwiek.

- Zawsze mnie pragnąłeś.

- Tak. - Udało mu się ściągnąć z niej żakiet, lecz gdy otarła się o niego, niczym prężąca się w blasku słońca kotka, zabrakło mu tchu. Delikatnie odsunął jej ręce, zanim zdążyła wyzwolić w nim te siły, nad którymi nie umiałyby zapanować.

- Nie obawiaj się, że będę nieśmiała - zapewniła. Tym akurat się nie martwił. - Chciałabym, żeby dobrze wypadło - wyznała. - Mogłabym spróbować zrobić wszystko, jak należy.

W jej oczach pojawił się nagle wyraz bólu, lecz wkrótce zniknął.

- Mniejsza o to. Nie zależy mi. Teraz jestem wolna. Będę grzeszna i swobodna. Zamierzam tańczyć w słońcu. I postanowiłam cię uwieść, Clay. Tym razem nie wyslizgniesz się niczym węgorz. Sądziś, że nie potrafię?

- Wiem, że potrafisz, - mruknął. W międzyczasie rozpiął jej bluzkę, chociaż obciążane jedwabiem guziki ślizgały mu się w palcach. Poza tym było ciemno.

- Nie jestem zbudowana jak Mae West.

- Wierz mi, nigdy nie zwracałem na to uwagi.

- Musiał sobie jeszcze poradzić z guzikami przy mankietach, zanim ostatecznie zdołał z niej zrzucić bluzkę.

- Głupio mi, że noszę staniki z wyściółką.

- Widzę.

- Ale to wcale nie znaczy, że jestem płaska. Po prostu nie znoszę, kiedy sutki odznaczają się przez ubranie.

Osobiście nie miał nic przeciwko temu, lecz nie śledził aż tak uważnie jej monologu. Rozkosznie miękka skóra lśniła bielą w księżycowej poświacie. Liz ciągle bardziej przypominała sylwetką dziewczynę, niż kobietę - zbyt szczupła talia oraz chłopięce biodra zdawały się gwałtownie dopominać o solidną porcję krwistego mięsa i cytrynowego placka z bezami.

Starał się wyobrazić sobie ten cytrynowy placek z bezami, ale był w stanie myśleć jedynie o seksie. Rozgrzane ciało emanowało zapachem, który zapa-

miętał na zawsze. Kochał jej zapach, kochał też jej skórę, lekki cień pomiędzy piersiami i jej podbródek. Uwielbiał jej słodkie wargi.

Zorientował się, że przygląda się właśnie ustom. Liz w tej chwili nie potrafiła nad sobą zapanować. Nie istniał najmniejszy nawet powód, żeby Clay znajdował się w jej sypialni, a tym bardziej, aby ją rozbierał. Wbrew oczekiwaniom, poczucie winy nie odezwało się. Nie był w stanie myśleć o honorze czy innych podstawowych zasadach.

Doświadczone palce przesuwają się po spódnicy, póki nie wyczuły z tyłu guziczka i zamka błyskawicznego. Rozpiął je, przyciskając policzek Liz do swej piersi, następnie pozwolił, by Iniana spódniczka swobodnie opadła na podłogę.

Nacisk małych piersi i szczupłych bioder omal nie doprowadził go do szaleństwa. Podobną scenę wyobrażał sobie tak często, że strzępek atłasowych majteczek mógłby równie dobrze nie istnieć. Zaciśnął zęby. Czuł w żyłach tętniącą krew. Liz odchyliła się do tyłu. Momentalnie zorientował się, że ma zamiar rozpiąć guziki jego koszuli. Lecz nie radziła sobie, wątpił nawet, czy mogłaby je dojrzeć. Trzepotała rzęsami, drżały pod nią nogi. Z jej twarzy zniknął wreszcie wyraz udręki.

Pozwolił jej bawić się guzikami, sam tymczasem przechylił się, odrzucając białą kołdrę na bok tapczanu. Poduszka, wciśnięta w obszytą koronkami poszewkę, nie dawała się przesunąć

- Clay - odezwała się przeciągle.

Guziki nie zaprzętnęły zbyt długo jej uwagi. Prześlizgując się dłońmi ku górze, do szyi, unosiła mu koszulę. Jego puls raptownie przyspieszył, ręce od-

nalazły młodzieńczą zwinność. Zepchnął w dół koronkową poszwę, do diabła z nią.

- Chodź tutaj - rozkazał cicho.

- Nie. Ja chcę...

- Wiem, czego chcesz, kochanie. Ale daj mi sekundę, żebym się rozebrał.

- Nie... - zawahała się, jej słowa się zlewały, lecz oczy wypełniała szczerowość. - Nie musisz być delikatny, Clay. Nie musisz być dobry. Ja...

- Wiem, mam się z tobą kochać, ale nie jak z damą. Bez „proszę” i „dziękuję”. Oczekujesz, że wezmę cię aż do zatracenia, aż do utraty tchu, aż cały ten cholerny świat gdzieś odpłynie. Wierz mi, najdroższa, uwielbiam dawać ci właśnie to, czego pragniesz.

Nawet pod wpływem alkoholu dawna Liz byłaby wstrząśnięta tak brutalną szczerością. Na to liczył, nie spodziewał się zatem przynaglającego szeptu:

- Tak. Daj mi więc, czego pragnę, Clay.

Do diabła. Następnym razem - Boże uchwój, żeby zdarzył się następny raz - napoi ją całą ćwiartką wódki. Przywarł ustami do jej warg zmuszając, by opadła na poduszkę. Wymamrotała coś, co o mały włos nie pozbawiło go rozsądku. Zdołał jednak ułożyć ją między prześcieradłami, choć przez cały czas trzymała go za szyję. Powoli rozsunał jej ramiona.

- Clay...

- Będę tutaj. Rozbieram się. Zamknij na chwilę oczy.

- Nie. Ja...

- Zamknij oczy, Liz. - Miał wrażenie, że nie może swobodnie oddychać.

Wyczekiwał bez ruchu wśród ciemności. Nie upły-

nęło wiele chwil, gdy uporczywa kusicielka uspokoiła się. Clay wyszedł tylnymi drzwiami. Jego płuca chłoneły powietrze nocy. Z ocienionego ganku mógł obserwować rój świetlików na podwórzu. Migotały szybko i jasno, po czym prędko znikwały.

Przez całe swoje dorosłe życie nie spotkał kobiety, która zagrażałaby jego równowadze bardziej niż Liz.

Wątpił, czy gdyby przypadkiem zapamiętała cokolwiek z wydarzeń dzisiejszej nocy, odezwałaby się doń jeszcze. Prawdę mówiąc w pełni mu to odpowiadało.

Następnego popołudnia o czwartej, Liz stojąc przed lustrem w łazience wytrząsała z buteleczki aspirynę. W głowie bezustannie wirowało, wysuszone gardło z trudem przełykało ślinę, a brązowe oczy pokrywała siateczka drobniotkich, przekrwionych żyłek. Mogłaby podejrzewać, że ma kaca. Logicznie jednak rozumując, trudno mieć kaca, skoro się nie piło alkoholu. Skąd zatem ten potworny ból głowy?

Przełknęła dwie tabletki i wzdrygnęła się. Wiele wydarzeń z ostatniej nocy stanowiło dla niej prawdziwą zagadkę. Parę dosadnych określeń dotyczących osoby Claya Stewarta błąkało się jej po głowie, ale żadne z nich nie przeszłoby przez usta zrównoważonej bibliotekarki. Ale przecież Liz machnęła ręką na karierę w Milwaukee, i wróciła tu, do własnego domu. Jej brat z pewnością zastanawiał się, czy siostra już umarła, czy jeszcze żyje.

Huczało jej w głowie, gdy wyruszyła na poszukiwania Andy'ego. Znalazła go. Jak przewidywała, siedział w kuchni na krześle. Przed nim piętrzył się stos klasówek z matematyki. Andy zupełnie się nie zmienił. Zachował wciąż kościstą budowę gracza w koszykówkę. Nawet w leniwe, sobotnie popołudnie wyglądał

na takiego nauczyciela matematyki, jakim był istotnie
- przesadnie poważnego, odrobinę pedantycznego, chodzącego od dziesięciu lat w ulubionym niebieskim golfie.

Gdy weszła, podniósł wzrok.

- Ranny ptaszek z ciebie.
- Chyba zepsuły się wszystkie zegary w tym domu
- poinformowała go. - Niemożliwe, żeby była czwarta po południu.

- Ale jest. Ktoś tutaj spał jak zabity.
- Zaiste, wizja wstrząsająca kobietą do głębi.
- Zmierwiła mu włosy, kierując się w stronę lodówki.
- Pomimo to, braciszku, możesz mnie nakłonić, żebym zrobiła obiad, jeśli założymy... - zerknęła do wnętrza lodówki i spojrzała na Andy'ego wzrokiem pełnym zdumienia. - Pewnie się obawiałeś, że ci wykupią lody pistacjowe? Jest ich tu chyba z dziesięć kilo.

- Jeszcze dwa dni temu nie wiedziałem, że przyjedziesz - bronił się Andy.

- Nie gadaj bzdur, nawet gdybym cię zawiadomiła z czteroletnim wyprzedzeniem, nie powinienem był tyle kupować. - Cudem odkryła dwie paczki steków wepchnięte za lody i rozmaite przekąski, jadane zazwyczaj podczas oglądania telewizji.

Uśmiech Andy'ego był równie leniwy, jak on sam.

- Nie powiedziałem, że nie powinienem był zrobić zakupów. Stwierdziłem po prostu, że nie miałem czasu. Znowu stajesz się podobna do człowieka - rzucił od niechcenia.

- Dziękuję - odparła wymuszonym, lecz już bardziej ugodowym tonem. Drażnienie Andy'ego przypominało igranie z ogniem.

- Kiedy ostatniej nocy stanęłaś w tych drzwiach...

- Wiem. Wyglądałam niczym narzeczona Frankens-teina. Nawet mi o tym nie wspominaj. Dwie doby bez snu oraz czterogodzinna jazda samochodem w deszczu.

Nastawiła kuchenkę mikrofalową na rozmrażanie, rzucając Andy'emu uspokajający uśmiech. Nie zamierzała martwić go wydarzeniami ostatniej nocy. Jej brat był najlepszym z ludzi. Wiedziała, że liczyć może na niego zawsze, ale jak każdy mężczyzna wpadał w panikę, gdy w grę wchodziły uczucia.

- Jesteś pewna, że czujesz się dobrze? Clay chyba sądził...

- Oczywiście, że czuję się dobrze - odparła z ożywieniem. - Na pewno nie jak rozpuszczony dzieciak, który wylegiwał się przez cały dzień. A co do Claya...

Samo brzmienie tego imienia wzbudziło w niej niepokój i Liz znów poczuła się jak przedtem, w łazience. Chociaż nie sięgnęła po zgubną lemoniadę, zanim Andy nie wymknął się do łóżka, przekonany, że ona i Clay chcą pogadać o dawnych czasach. Jednak...

- Mniejsza o Claya. - Kuchenka mikrofalowa zadzwoniła, oba steki były miękkie. - Słuchaj, braciszku. Jak ci mówiłam wcześniej przez telefon, zastanawiam się, czy nie wrócić, lecz to wcale nie znaczy, że koniecznie muszę zamieszkać właśnie tutaj. Chcę, abyś był ze mną szczerzy, ponieważ gdybym to ja znajdowała się na twoim miejscu...

- Spróbuj nie robić z siebie większego głuptasa, niż jesteś. Co? Ostatecznie, o ile się orientuję, ten dom należy tak samo do mnie jak i do ciebie.

Energicznie wysunęła podbródek.

- Masz trzydzieści jeden lat, przyzwyczyłeś się do własnego stylu życia. Być może masz kogoś.

- Tysiące kobiet, które co noc dobijają się do moich drzwi - przytaknął lakonicznie Andy. - Ale nie tracę nadziei, iż zdołamy dogadać się na tyle, że nie będziesz mi nadmiernie przeszkadzała.

Ze zręcznością piłkarza odbierającego podanie chwycił ręcznik, którym weń cisnęła. - Spróbuj wbić sobie do głowy, że jesteś tu mile widziana, dobrze siostrzyczko? A jeśli cię to aż tak martwi, możesz wziąć na siebie całe gotowanie. I pranie. I...

- Czy to prawda, że lubisz przypalone steki?

- Hej, ja żartowałem! - Po chwili dodał burkliwie:

- Brakuje ci forsy?

- Zdecydowanie nie. A tobie?

- Stale - szurnął klasówkami po stole. - Skończyłaś wreszcie załatwiać rozwód z tym łobuzem?

- Podpisane, ostemplowane i doręczone dwa dni temu. - Beztroski ton głosu Liz godny był najwyższej nagrody.

- Cholera! Przepadło.

- Co?

- Zapomniałem, że dziś po południu Michigan gra z Notre Dame. Założę się, że straciłem pierwsze dwie ćwiartki.

- No nie - Liz plasnęła się otwartą dłonią w czoło.

- Oto nadchodzi koniec świata, istny kres życia. Ginie dorobek wszystkich dni. Jak będziemy mogli dalej żyć?

- Z powodu, którego nie potrafię bliżej określić

- z irytacją rzucił od drzwi Andy - brakowało mi ciebie.

Liz tęskniła do niego równie mocno. Nikt inny nie był tak zgodny we współżyciu jak jej brat. Zupełnie, jakby nie było minionych dziesięciu lat - podczas obiadu żartowali, spierali się, aż wreszcie opadli na przeciwległe kanapy, aby obejrzeć sobotnie kino nocne.

Kiedy Andy udał się do łóżka, Liz rozpoczęła wędrówkę z pokoju do pokoju, pozwalając, aby zawładnęły nią spokój i świadomość, że naprawdę jest w swoim rodzinnym domu. Tak niewiele się zmieniło. Zegar z kurantem nadal się spóźniał o cztery minuty. Czwarty stopień schodów ciągle skrzypiał. W kącie, jak zwykle, leżały gazety, wełniane szale oraz na wpuł przeczytane książki.

Czterdzieści osiem godzin temu pragnienie powrotu do domu okazało się przemożne i nie do powstrzymania. Rozwód podziałał niczym katalizator. Mogło to wyglądać na absurd, zważywszy, że małżeństwo rozpadło się niemal rok wcześniej. Za równie niecodzienny można by uznać pośpiech, z jakim spakowała się nieomal w jednej chwili, przekręciła klucz w zamku mieszkania w Milwaukee i wyjechała. Porzuciła bezpieczną, pewną posadę, którą zajmowała przez ponad pięć lat.

Rozpaczliwie, natychmiast zapragnęła znaleźć się w domu. Nie mogła czekać. Cały świat z pewnością uznałby, że w jej postępowaniu brak jakiegokolwiek sensu. Liz wiedziała lepiej. Decyzja o przyjeździe do domu okazała się najtrafniejsza spośród tych, które podejmowała w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Zatrzymała się przed oknem bawialni. Mogła stąd obserwować okolicę, zacienione podwórka, dziecięce huśtawki i werandy, na których ludzie nadal przesiadywali letnimi nocami.

Dziwne, ale Ravensport można było rozpoznać po zapachu. Pachniało jak dom rodzinny. Żyli tu ludzie, którzy kochali, plotkowali, wpadali w panikę z powodu zmian cen benzyny, lecz trudno im było to skojarzyć z kłopotami na Bliskim Wschodzie. Mieszkańcy małego

miasteczka nie interesowali się zbyt sprawami odległego świata. Liczył się posiłek na stole, klamerki na zęby Johnny'ego czy radość z nowego auta.

Zegar w holu wybił północ, a Liz wciąż jeszcze witała się z domem, dotykając rozmaitych przedmiotów. Każdy pokój był pełen wspomnień z lat dorastania, i tych dobrych, i tych niepokojących. Ale gdy wracała do domu, nie oczekiwała wcale, że będzie łatwo.

Kiedy ostatnio tu mieszkała, miała siedemnaście lat, była uparta, pewna siebie i w młodzieńczy sposób zbuntowana. Przez ostatni rok szkoły średniej opiekował się nią Andy. Po rozwodzie każde z rodziców liczyło na to, iż Liz zamieszka z którymś z nich. Ale bardzo się mylili. Liz przeżywała trudny, pełen napięcia wiek dojrzewania. W tym czasie nikt nie potrafił jej pomóc.

Z wyjątkiem Claya Stewarta, oczywiście.

Na myśl o Clayu i o minionej nocy prawie się uśmiechnęła. Nagle powróciło do niej wspomnienie znacznie odleglejszych wydarzeń. Do dzisiaj pamiętała długie ramię Claya blokujące jej przejście z małej łazienki na dole do kuchni.

- Jeśli serio myślisz, że wyjdiesz z tym gładkim gogusiem w obcisłych dżinsach, jesteś niespełna rozumu.

Przywołała inną scenę, z jadalni; była ubrana w wyjściową suknię, kontrastującą z jego wytartymi dżinsami i równie znoszoną bluzą od dresu.

- Clay, cała starsza klasa nie wraca na noc do domu.
- W takim razie cała starsza klasa, co do jednego, może cię odprowadzić - stwierdził.

Pamiętała, jak kiedyś, wkrótce po rozwodzie rodzi-

ców, siedziała wraz z nim na werandzie. Właściwie to nie siedziała, ale w pół leżała w spodniach z obciętymi nogawkami, oparta bosymi stopami o słup werandy. Robaczki świętojańskie pracowicie śmigwały w ciemnościach letniej nocy. Clay ani razu nie przerwał jej długiego monologu o tym, że instytucja małżeństwa jest przeżytkiem, miłość jest chyba jeszcze bardziej bez sensu, a seks - czego miały dowodzić wszystkie wnioski wynikające z dziecięcych rozmów - nie ma żadnej wyższej wartości. Nie odzywał się, lecz gdy skończyła, zamknął ją w niedźwiedzim uścisku i powiedział cicho:

- Kiedyś wybaczysz rodzicom, bez względu na to, co teraz sądzisz. Poza tym przestanieś zadrećcać się myślą, że sama zawiniłaś. Nie mogłaś nic zrobić. Liz, to była ich sprawa. Jeśli chcesz się dalej dręczyć, to się dręcz. Ja pozostaję przy swoim zdaniu.

Mając siedemnaście lat Liz była do tego stopnia zakochana, że nie potrafiła trzeźwo myśleć. Ilekroć kogoś potrzebowała, on zjawiał się jak na zawołanie i był wyrozumiały. Clay Stewart zdawał się na pozór ostatnim człowiekiem, który mógłby otoczyć ją opieką, mimo długoletniej przyjaźni z Andym. W Ravensport nikomu innemu nie przytrafiały się takie kłopoty jak Clayowi. Matka piła, ojca nie znał. Chłopaka dwukrotnie aresztowano za nieostrożną jazdę. Gdy córka burmistrza zaszła w ciążę, wskazała palcem na Claya i wybuchł skandal, gdyż nie chciał się z nią ożenić. Bez przerwy brał udział w bijatykach. Niemal wystarczyło, żeby Clay odetchnął, a już pojawiały się problemy.

Liz wiedziała o wszystkim, lecz miała swoje zdanie. Clay nosił skórzaną kurtkę, poruszał się z zawadiacką,

leniwą niedbałością, w oczach zaś miał niebezpiecznie prowokujący błysk. Całe miasto uważało go za aroganta, zabijakę i pozbawionego skrupułów chuligana. Natomiast dla Liz był samotnym człowiekiem, rozpaczliwie potrzebującym kogoś, kto by go zrozumiał i weń uwierzył.

Zegar w holu wybił drugą. Liz, idąc po schodach, uświadomiła sobie nagle, że minionej nocy już drugi raz w życiu starała się - bezskutecznie - uwieść Claya Stewarta.

Rozebrała się w ciemności i wślizgnęła pomiędzy zimne, białe prześcieradła. Za pierwszym razem Clay odmówił jej z całą odpowiedzialnością człowieka, na którym zawsze można polegać. Oświadczył, że nie wolno jej kiedykolwiek związać się z kimś tak przegranym jak on.

Posłuchała jego rady. Opuściła dom, wyjechała na wyższą uczelnię i poznała Dawida. Dręczący, nieznośny bunt, który zdominował jej postępowanie w ostatnim roku szkoły średniej, zniknął. Liz nie miała natury wojowniczej. Ponownie nawiązała stosunki z rodzicami, wydorosłała. Zdobyła zawód. Wychodząc za Dawida, zupełnie nie brała pod uwagę możliwości rozwodu. Wkroczyła na nową drogę życia zdecydowana nigdy nie dopuścić do klęski.

Dopiero teraz rozumiała w pełni, że jest sama. I że jej małżeństwo rozpadło się definitywnie.

Przez okno obserwowała szare chmury, przepływające obok lśniącego białą księżycy. Liście, targane niespokojnym wiatrem, uderzały o szyby. Sen nie nadchodził.

Nie przyjechała do domu dla Claya. Nie wróciła tu dla innego mężczyzny. Dawne uczucie do Dawida zgasło, choć niemal przez rok nie mogła sobie z tym

poradzić. Nie sądziła, że znów uwierzy w siebie. Kiedyś była głupią, impulsywną, nieustępliwą nastolatką, zaślepioną gniewem z powodu rozvodu rodziców. Własną egzystencję budowała od początku w oparciu o przekonanie, że jej na pewno się coś podobnego nie przytrafi. Jeśli w życiu stawia się na poczucie bezpieczeństwa, emocje muszą zejść na drugi plan. Liz z całych sił uchwyciła się konkretnego zawodu i męża, który dawał gwarancję stabilizacji.

Wybrała iście szatański sposób na życie, lecz potrzebowała aż dziesięciu lat, aby odkryć, że sama siebie okłamuje. Gdzieś w głębi duszy Liz Brady pozostała uczciwa. Do domu wróciła, by się znowu odnaleźć.

Rozmyślała o Clayu, a także o zdarzeniach ostatniej nocy. Czuła się trochę zakłopotana, nieco przerażona, a także odrobinę zawstydzona. Jednak Clay popełnił minionej nocy istotny błąd. Nie chodziło wcale o to, że jej doprawił lemoniadę. Nie, błąd polegał na tym, że Clay stanął na drodze kobiety, która znajdowała się w stanie wojny z samą sobą. Clay kojarzył się z tym etapem życia, kiedy wzruszenia, miłość i zaufanie, brała jeszcze za rzecz prawdziwą i naturalną.

Gdyby tamta dawna Liz zaczęła go w sposób równie natrętny, nie wiedziałyby później, gdzie ma podziąć oczy i starannie unikałyby go przez najbliższe sto lat. Duma zawsze znaczyła dla niej więcej niż uczciwość.

Nowa Liz nie wróciła jednak do domu, żeby się kryć, lecz aby dojść do ładu sama ze sobą.

Musiała więc znowu spotkać się z Clayem

ROZDZIAŁ DRUGI

Deszcz bębnił o szyby. Clay wstał, cisnął okulary na zagracone biurko i wyrztał przez okno. Reflektory samochodów rzucały wśród nocnych ciemności oślepiające błyski. W taką pogodę zjawiało się zwykle wielu klientów. Sądząc po zatłoczonym parkingu tak było i tym razem. Wieczorny spory ruch w motelu zapowiadał niezłe dochody.

Biurko z tekowego drewna nie pasowało do mężczyzny w starych dżinsach i postrzępionej, białej koszuli. Przy papierkowej robocie czuł się nie na miejscu, niczym oszust goniący za sukcesem albo pechowy pokerzysta, który wciąż wchodzi z gotówką do puli, licząc na udany bluff. Przeciągnął niecierpliwie ręką po włosach. Rozumiał, że jest rozgoryczony. Przez ostatnich pięć dni bezustannie towarzyszył mu ten sam nastrój. Najchętniej zwarłby się w walce na pięści albo popędził po górskich wirażach wyścigowym maserati z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, albo po prostu popił. To była dobra recepta na złe samopoczucie, nawet gdyby Liz Brady nie wróciła do miasta. Zmierzyłby się teraz z jakimś twardym przeciwnikiem. Niezbyt wielu takich można było spotkać w okolicy Ravensport, w stanie Wisconsin. Po dywanie, utrzymanym w szarej tonacji, przeszedł do pokoju syna i cichutko otworzył drzwi. Zły

humor minał, a w jego miejsce zaczął odczuwać pobłażanie zmieszane z bezradnością.

W dwóch prywatnych pokojach Claya dominowała barwa kremowa i szara, a sprzęty dobrane zostały pod kątem możliwie największej funkcjonalności. Brak drobiazgowo świadczył, że właściciel ani myśli uzależniać się od przedmiotów. Na spakowanie całego dobytku wystarczyłoby mu zaledwie kilka godzin.

Z kolei to, co w swoim pokoju zgromadził Spence, byłoby raczej trudno przenieść. Piętnastolitrowe akwarium ponad miarę wyładował szkolnymi książkami. W odległym kącie od lat zalegały wypchane zwierzęta. Statek kosmiczny z klocków lego sterczał nad szafą, a półki, sięgające od podłogi do sufitu, zavalone były książkami, komiksami i kilkoma kolekcjami niezbędnych, zdaniem Spence'a, rzeczy. Nie miał zwyczaju niczego wyrzucać.

Od wpół do dziewiątej powinien spać. W pokoju było ciemno. Jednak nie na tyle, żeby Clay nie spostrzegł na łóżku pagórka z kocy, spod których wymykało się światełko latarki.

Miłość do syna, nie dająca się porównać z żadnym innym uczuciem, gwałtownie ścisnęła serce Claya. Zmusił się, aby jego głos zabrzmiał surowo:

- Hej, zdawało mi się, że pół godziny temu kazałem ci iść spać.

Spomiędzy dwóch warstw puszystego przykrycia wyłoniła się w blasku latarki piegowata twarz, strzecha ciemnych włosów i brązowe, pełne rozgoryczenia oczy.

- Tatusiu, tyle razy ci już tłumaczyłem, że nie da rady zamknąć Encyklopedii Browna w środku rozdziału. Po prostu trzeba doczytać do końca.

- A chcesz wiedzieć, co się stanie, gdy drugi raz cię przyłapię na czytaniu przy latarce? Ile razy mam ci powtarzać, że niszczysz sobie oczy? - Clay podszedł do łóżka syna, poprawił prześcieradła i koce. - Schodzę teraz na dół. Cameron będzie w sąsiednim pokoju, tu masz dzwonek, możesz zadryndać, jeśli będziesz mnie potrzebował.

- Nie będę nigdy więcej używał dzwonka. Do diabła, ja mam już przecież osiem lat!

- Nie uda ci się dobrać do dziewięciu, jeśli nie przestaniesz tak kłąć.

Ale to ostrzeżenie, jak zresztą wszystkie inne wymówki, wywołało jedynie zuchwały uśmiech. - Oczywiście, tato.

Clay rozważał, czy nie wlepić synowi solidnego klapsa, na co chłopiec niewątpliwie zasłużył. Lecz tylko wyciągnął rękę i musnął jego policzek. Spence objął ojca za szyję, więc wszelkie myśli o dyscyplinie uleciały Clayowi z głowy. Zapach Spence'a przywodził na myśl gorące mleko, pastę do zębów i świeżo malowany pastelami obrazek. Cholernie kochał ten zapach.

- Śpij już teraz - mruknął.

Sekundę później zamknął drzwi sypialni i odczekał, licząc w myślach do dwudziestu.

- Zgaś światło - rzucił przez drzwi.

- O rany! Zostały mi jeszcze tylko dwa akapity.

- Spence, w tej chwili! - Clay był zdecydowany zademonstrować ojcowski autorytet.

- Dobrze już, dobrze.

Gdy Clay znalazł się poza pokojem syna, powrócił ponury nastrój. Nie był odpowiednim ojcem dla Spence'a.

Przez całe życie wykazywał talent do wpadania w tarapaty. Lecz do swych głównych życiowych pomyłek zaliczał związek z matką Spence'a. Ciemnowłosa Mary kręciła się po okolicy, mając nadzieję na szybki romans. Niewiele różniła się od większości kobiet, które przewinęły się przez jego życie, tyle tylko, że zręcznie kłamała, opowiadając o braku doświadczenia. Gdy Clay zaproponował jej małżeństwo, posłała go do diabła.

Zginęła w wypadku samochodowym. Wściekł się, gdy miejscowe władze umieściły jego synka w domu dziecka. Zorientował się, że nieślubny ojciec nie ma żadnych formalnych praw do potomka. Przekonał się także, co mieszkańcy Ravensport sądzili o kwalifikacjach Claya Stewarta jako samotnego ojca.

Na skutek tych wszystkich okoliczności mały Spence przebywał w domu dziecka dwa lata.

Przez ten czas Clay ciułał grosz do grosza. Udało mu się zadatkować motel. To miejsce cieszyło się wówczas fatalną opinią z powodu złego oświetlenia, okropnego jedzenia i braku wszelkich wygód. W holu znajdowały się jedynie popękane, winylowe kanapy i automaty z gumą do żucia. Clay wprowadził wiele zmian. Teraz w holu na kominku płonął ogień, zieleń roślin kontrastowała z dębową boazerią, wygodnie rozstawione krzesła i kanapy czekały na zmęczonych podróżnych. Cały motel zmienił się nie do poznania. Clay wrósł w to nowe otoczenie, jednak nie mógł się całkowicie oderwać od przeszłości ani zapomnieć o dawnym trybie życia.

Clay zauważył Camerona i siedzącą w recepcji Susie, następnie minął kuchnię, restaurację i z ciężkim sercem skierował się do baru.

Oddzielone od siebie stoliki, a także przyćmione światła stwarzały zdecydowanie intymną atmosferę. Siedząca przy pianinie Char miała na sobie suknię z dziwnego materiału, z dekoltem niemal do pasa. Lecz tego wieczoru nie odpowiedział na jej powłóczyście spojrzenia.

Gdy wszedł za barową ladę, automatycznie zrealizował zamówienie jakiegoś klienta. W odległym końcu baru George polerował szklanki. Wysoki, mocno zbudowany George potrafił w ciągu wieczora wysłuchać większej ilości zwierzeń niż dobry psychiatra.

Rzucił swemu szefowi mocno zakłopotane spojrzenie, po czym skinął w kierunku zajętych stołów.

- Spokojnie jak w grobie.

- Widzę. - Zlustrował salę, mając nadzieję, że może natrafi na jakiegoś pijaka lub rozrabiakę. Clay cieszył się w mieście określoną opinią, więc ludzie spodziewali się tu bardziej gwałtownych i podniecających rozrywek niż gdzie indziej. Nawet po tylu latach Ravensport nie mogło uwierzyć w przemianę zawadiackiego i buńczucznego Claya. A on bawił się świetnie zbijając przy okazji pieniądze na własnej, nie najlepszej reputacji. Jak na razie do najgorętszych emocji w tym lokalu należało zerkanie w dekolt Char. Jednak dzisiejszego wieczoru powitałby z radością porządną awanturę.

- Spence cię zirytował? - zapytał George.

- Spence wiecznie doprowadza mnie do pasji. Dzieci są okropne. Jak to możliwe, żeby mężczyzna, który z trudem skończył szkołę, miał ośmioletniego syna, nałogowego pożeracza książek i miłośnika algebry?

- T-a-a-a... - George opuścił ścierkę. - To cię gryzło przez cały tydzień?

- Nie martwiłem się przez cały tydzień niczym szczególnym, ale dobrze zrobiłoby mi, gdybym dał komuś w szczękę - odparł Clay sucho.

- Szukasz chętnych?

- Wyobraź sobie, że ty będziesz pierwszy w kolejce. Nie musisz mi tłumaczyć, że potrafię być bardziej złośliwy niż niedźwiedź.

- Widywałem cię już w gorszym stanie. Chociaż niezbyt często. Próbowaleś może rycyny?

Clay odwzajemnił się stosownym gestem, a George zachichotał. Postukując końcami palców o bar, Clay właśnie zbierał się do wyjścia, gdy jego uwagę zwróciła otwierająca drzwi kobieta.

Wspaniałe, srebrzyście lśniące od deszczu włosy spływały jej na ramiona. Ubrana była w błękitne, eleganckie spodnie i starannie dobrany do nich luźny, robiony na drutach sweter, który opływał smukłą figurę. Usta były delikatnie pociągnięte szminką, a cały stonowany makijaż doskonale komponował się z kolorystyką stroju. Całość sprawiała bardzo nobliwe wrażenie.

Clayowi wystarczył jeden rzut oka. Do nazwania niepokoju, który mu ciążył przez ostatnie pięć dni, nie potrzebował nawet sekundy. Pożądanie ogarnęło go z całą mocą.

Kobieta przystanęła w drzwiach. Zachowywała się tak, jakby cały świat do niej należał. Rozejrzała się z ciekawością po barze, zatrzymała wzrok na Clayu, potem przeniosła spojrzenie w inną stronę.

Clay poczuł, że jego usta wyginają się w uśmiechu. Ruszyła do baru i wślizgnęła się na wysoki stołek, akurat na wprost Clay'a. Chociaż oboje znajdowali się w tym samym miejscu na ziemi, ona udawała, że tak nie jest.

Patrzyła wyczekująco na George'a, który szybko przesunął się wzdłuż lady ze ścierką udrapowaną wokół ramienia.

- Co podać?

- Faszerowaną lemoniadę - powiedziała poważnie. Clay znieruchomiał.

George rzucił mu zaciekawione spojrzenie.

- Słucham?

- Jeśli pan nie zna się na dobrych drinkach, mam nadzieję, że ten tam diabeł obok pana wie, co to jest.

- Wyciągnęła przez ladę szczupłą dłoń ku George'owi.

- Nazywam się Liz Brady. Wiem, że nie spotkałam pana nigdy przedtem, ale urodziłam się i wychowałam w pobliżu. To miejsce uważano kiedyś za nędzną dziurę. Wykonał pan kawał dobrej roboty!

- Owszem - zgodził się łaskawie George. Uścisnął rękę Liz i oparł się łokciami o ladę.

- Otrzyma pani drinka na koszt firmy, ale pod warunkiem, że mi pani zdradzi składniki faszerowanej lemoniady.

- Tą panią ja się zajmę, George.

Gdy Liz zeskakiwała z barowego stołka, poczuła ramię Clay'a obejmujące jej barki. Gdy spojrzała ku górze i zobaczyła rozjarzone oczy, zrozumiała łomot swego serca. Po pięciu dniach stało się zupełnie oczywiste, że góra nie przyjdzie do Mahometa. Zrozumiała, że sama musi wystąpić z inicjatywą. Potrzebowała jednak kilku dni dla nabrania animuszu, tym bardziej że pamiętnego wieczoru zachowała się skandalicznie. Wydawało się, że już przebrnęła przez najgorsze, lecz miała wrażenie, iż cała jej odwaga ulotniła się.

Serce Liz zaczęło bić tak mocno i szybko jak przed dziesięciu laty.

Clay wciąż miał mocne kości Wikinga, ciemne oczy jastrzębia i gęstą rudawą strzechę na głowie. Brwi sterczały we wszystkie strony. Wystające kości policzkowe, energiczny podbródek rzucający wyzwanie całemu światu oraz klasyczny rzymski nos sprawiały, że twarz wydawała się kwadratowa. Bruzdy wokół oczu i brwi znamionowały doświadczonego mężczyznę, który żył twardo, grał ostro, a pracował za dwóch. Gdy był rozgniewany, jego usta nabierały wyrazu okrucieństwa.

Przymiotniki w rodzaju „miły” czy „przystojny” zupełnie do niego nie pasowały. Ale przykuwał uwagę kobiet. Ubierał się wyzywająco, a jego błyszczące, aroganckie oczy budziły w kobietach pragnienie, aby go obłąskawić. Nie używał wyszukanych męskich kosmetyków i specjalnie nie dbał o siebie. Po prostu istniał. To wystarczało.

Liz dobrze pamiętała przyspieszone bicie serca, które wywoływał jednym spojrzeniem. Mogła przysiąc, że owego wieczoru Clay ją całował i chyba wreszcie zrozumiał, że dawno przestała już być małą dziewczynką.

Kiedy weszli do oświetlonego holu, natychmiast zdjął rękę z jej ramienia, jakby go coś parzyło.

- Więc? Miałem pewne wątpliwości, czy jeszcze ze sobą rozmawiamy.

Zerknęła ku górze.

- Przyszłam ci coś wyjaśnić. Czy wokół ciebie kręciły się ostatnio jakieś inne kobiety?

Usiłował z trudem powstrzymać uśmiech.

- Żadna nie była tak zaborcza jak ty. - Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów, ale nie było w nim adoracji. Wyglądało, jakby sprawdzał, czy jakiś umorusany szkrab przypadkiem jej nie ubrudził.

- Wyglądasz lepiej - osądził krytycznie.
- Słyszałam już bardziej wyszukane komplementy.
- Jeśli spodziewasz się przeprosin, to na próżno.
- Świetnie. Natomiast jeżeli ty oczekujesz, że zrobię jeszcze jeden krok w twoją stronę, to się mylisz. Zmieńmy temat i rozmawiajmy o czymś ciekawszym. Na przykład, czy mój przyjaciel z młodości oprowadzi mnie po swych włościach, czy też mam je zwiedzać na własną rękę? - Rozejrzała się wokół. - Niezły lokal, szczególnie jak na kogoś, kto nieustannie miewa kłopoty. Weź pod uwagę, iż nie twierdzę, że ten widok zwałił mnie z nóg, ale...

Clay nie wahał się nawet przez moment. W ciągu minionych pięciu dni rozsądek nakazywał mu trzymać się od niej z daleka. Miał zamiar dalej tak postępować, dopóki nie nabierze absolutnej pewności, że Liz jest w dobrej formie.

Otoczył ramieniem jej barki w taki sam sposób, jak czynił po tysiackroć, gdy była młodsza. Starał się nie reagować na jej bliskość i zapach. Jej biodro od czasu do czasu ocierało się o niego i wówczas krew burzyła mu się w żyłach. Ze wszystkich sił starał się nie zwracać na to uwagi.

- Padniesz, gdy obejrzyś wszystko, czego tu dokonałem - stwierdził sucho. - Chodź, słoneczko. Będziesz miała swoją wycieczkę.

Najpierw zabrał Liz do restauracyjnej kuchni. Przyglądał się jej uważnie, gdy próbowała czekoladowego musu i zaglądała do kredensów oraz gawędziła z kucharzem. Przyszło mu do głowy, że powinna bezwzględnie odpocząć; pod oczami miała cienie, była nadal zbyt szczupła. Na ustach pojawiał się tajemniczy uśmiech, a brązowy kolor tęczówek zyskał na intensywności.

Starał się dostrzec zmiany w jej wyglądzie. Właściwie ich nie zauważył. Wyrosła na kobietę znacznie silniejszą od dziewczyny, którą kiedyś z oddaniem się opiekował. Była taka doskonała. Pastelowa miękkość, delikatność, kobiecy powab tworzyły naturalną, nienaganną, właściwą dla niej harmonię. Przez całe lata unikał tego rodzaju kobiet. Damy nie były dla niego, więc Clay zdecydował nie zadawać się z Liz. Pragnął, żeby była szczęśliwa, a przecież ona, do diabła, nie wydawała się szczęśliwa.

Wsadzała nos do chłodni, szafek na szczotki i półek niczym kociak, pierwszy raz puszczonej wolno. Na krótko stracił ją z oczu, zanim zrozumiał, że wyszła już z kuchni. Opierając szczupłe dłonie na biodrach, spoglądała na zatłoczoną gośćmi jadalnię, na ładnie poustawiane sałatki i barwne desery, na zasłony zaciągnięte na oknach.

Wystrój sali nie był zbyt ozdobny, lecz czerwony dywan i lampy stołowe w stylu Tiffany'ego stwarzały pogodny nastrój. Gdy napotkała wzrok Claya, uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Dopiąłeś swego, prawda?

- Mianowicie?

- Wszyscy tu są. Grissom z rodziną siedzi tam, w kącie, a przecież kiedyś z satysfakcją wyrzuciłby cię z miasta. Nie wiem, czy Curtis jest wciąż szefem policji, ale dziesięć lat temu trudno byłoby uważać was za przyjaciół. - Wymieniła innych, następnie wskazała na salę. - To miejsce było dawniej obskurną spelunką dla rozrabiaków, które odwiedzali również z konieczności kierowcy ciężarówek. - Potrząsnęła głową i rzekła miękko: - Pokazałeś im wszystkim, co potrafisz, Clay. To cieszy.

Jego szeroki uśmiech stał się cyniczny.

- Chyba dzisiaj łatwiej cię zaskoczyć niż kiedyś. Niechętnie o tym mówię, ale gdybym pokazał ci kredyt hipoteczny zaciągnięty na urządzenie tego lokalu, chyba byś zemdlała. - Nie zareagowała. Z uśmiechem w oczach krytycznie lustrowała Claya od stóp do głów, zwróciła uwagę, że nosił zwykłą koszulę i dżinsy, choć na ogół właściciele restauracji pokazują się w bardziej oficjalnym stroju.

- Wciąż wyglądasz jak twardy i brutalny facet. Ale to nieprawda.

- Nie miałaś chyba żadnych złudzeń, że kiedykolwiek stanę się typem w garniturze i z teczką? - Zrobiło mu się nieswojo. Wyprowadził ją z hałaśliwej, zatłoczonej restauracji i kuchni.

- Ale opanowałaś rolę ojca, prawda? Andy mówił, że masz syna. - Ten fakt nadal burzył jej spokój. Dostrzegła szybki, czuły błysk w jego oczach. Zrozumiała, jak wiele to dziecko dla niego znaczy.

- Tak, mam syna, Spence'a.

- Czy jest podobny do ciebie?

- Nie, dzięki Bogu - odparł Clay z krzywym uśmiechem. Obserwowała go.

- Nie wiem, jak to powiedzieć, ale myślę, że mógłby wyrosnąć na kogoś takiego jak ty.

- Na wozie i pod wozem, przy czym częściej pod czy tak? Zapomnij o tym. Dzieciak będzie nosił głowę wysoko, a ja albo umrę, albo pomogę mu to osiągnąć.

- Nie chciał mówić o sobie ani też o Spence'u. - Nie wspomniałaś, jak długo zostaniesz.

- Nie zastanawiałam się. - Dodała łagodnie: - Jaka ona była?

- Kto?

- Matka Spence'a.

Umilkł. Tylko na poły rozbawiony, a na poły zirytowany wyraz jego oczu wskazywał, iż przekroczyła granicę pomiędzy ciekawością, którą usprawiedliwiała stara przyjaźń, a wtrynianiem nosa w nie swoje sprawy. - Nie wiem, dlaczego o to pytasz. Domyślam się, że wymogłaś informacje na bracie.

- Wymogłam - przytaknęła z uśmiechem.

- Zatem, o czym tu jeszcze gadać? Stare dzieje. Dziewczyna zaszła w ciążę, co dla nikogo w mieście nie było niespodzianką. Nie chciała za mnie wyjść, co również nie zdziwiło nikogo. Gdy zmarła i jej ojciec miał chęć oddać małego do domu dziecka, cholernie szybko odkryłem, że nieślubny ojciec nie ma żadnych oficjalnych praw. Dwa lata zabrało mi łożenie po sądach, by go odzyskać. To miasto ma własne zdanie na temat ojcowskich kwalifikacji Claya Stewarta. Gdybyś zasięgnęła języka, wiedziałabyś już o wszystkim. Myślałaś, że poznasz inną wersję całej historii, jeśli będzie pochodziła ode mnie? Nie ma innej. Stało się dokładnie tak.

W tonie Claya zabrzmiały stare, zaczepne nuty i przez chwilę miała ochotę nim potrząsnąć. Przechadzali się po korytarzu, o szyby dudnił deszcz. Na tle ciemnego nieba błyskawice lśniły białym, złowieszczym światłem.

Kiedyś, dawno temu, instynktownie utuliłaby Claya, aby chronić go przed życiem wypełnionym zbyt wieloma ponurymi, zimnymi, nie kończącymi się nocami. Clay nigdy sobie nie pobłażał, nie wybaczał, zawsze był wobec siebie nieustępliwy. Z sobie wiadomych powodów starał się, aby myślała o nim jak najgorzej. Zwykle mawiał, że powinna przestać patrzeć

na świat przez różowe okulary, a powtarzał to zwłaszcza wtedy, gdy od tego świata obrywał.

Jeśli chciał sprawić, aby uwierzyła, że z zimną krwią porzucił ciężarną dziewczynę, to grubo się mylił. Ten stereotyp zupełnie nie pasował do człowieka, którego znała. Od chwili gdy Andy opowiedział jej całą historię, w głowie Liz kłębiły się rozmaite myśli. Starła się postawić w sytuacji Claya uwikłanego w romans z kobietą, której na nim nie zależało, Claya walczącego o syna, pozostawionego samemu sobie. Claya, o którego nikt się nie zatroszczył.

- Może pomówimy o tym kiedy indziej - odezwała się cicho.

- Nie ma o czym. Już ci to wyjaśniłem. - Niecierpliwie przeciągnął dłonią po włosach.

- Tak. - Kiedyś klepnęłyby tego złoźnika po plecach i starałyby się okazać mu tyle serca, aby uwierzył, że nie jest sam na świecie. Od kiedy go poznała, wiedziała, że powinien coś ze sobą zrobić. Wyglądało na to, że nikt mu tego nie uświadomił. Nadal chował się w skorupę i nie otwierał się przed nikim, a zwłaszcza przed nią.

Czy po tylu latach mogła się spodziewać innego zachowania? Westchnęła, po czym zaskoczona spojrzała na pusty korytarz.

- Dokąd idziemy? - zapytała.

- Chciałem zabrać cię do mnie, ale nie sądziłem...

- popatrzył na zegarek. - Jest później, niż przypuszczałem.

Natychmiast zeszywniała.

- A ty, oczywiście, wieczorami pracujesz. Nie miałam zamiaru zabrać ci tyle czasu. - Ściskając w ręce kurtkę oraz torebkę, ruszyła ku drzwiom

w drugi koniec korytarza. Nie powinna wścibiać nosa w cudze sprawy - gdzie, do diabła, zaparkowała samochód? - Minęło dziesięć lat i nie powinna powodować się starymi przyzwyczajeniami i naprzykrzać Clayowi Stewartowi.

- Sądziłem zawsze, że to hol, nie tor wyścigowy.

- Sam powiedziałaś, że już późno. - On, oczywiście, chciał, aby sobie poszła. Dotrzymywał jej kroku. Nogi same ją niosły w stronę wyjścia. - Czy pozwolisz mi się kiedyś spotkać z twoim Spence'em? - zapytała lekko.

- Jasne.

Kiedy znaleźli się przy drzwiach, Liz wyrzała na parking. Żółte światła podwórza pobłyskiwały w strugach deszczu. Naciągnęła szybko kurtkę.

- Nie dość, że leje jak z cebra, to na dodatek jest zimno jak diabli - mruknęła.

- Liz.

Uniosła twarz, a jemu nagle zabrakło słów. Z trudem się opanował, aby nie zapiąć jej kurtki i nie postawić kołnierza. Po godzinie z Liz nerwy odmawiały mu posłuszeństwa i nie wiedział, czego chce.

Pragnął, żeby została, a zarazem, aby sobie poszła. Chciał opowiedzieć jej o Spence'u, ale równocześnie nie miał ochoty, aby dowiedziała się o rozmaitych sprawach, z których nie był zbyt dumny. Z satysfakcją pokazał jej motel, liczył też po cichu, że Liz dostrzeże zmiany, które zaszły w nim samym. Lecz w głębi duszy wiedział, że na dobrą sprawę wciąż pozostawał Clayem Stewartem i nigdy nie będzie pasował do jej świata.

Spędziła z nim zaledwie godzinę, a przecież, do diabła, jak to ona, już zdołała wtargnąć w jego życie. Problem polegał na tym, że on nie potrafił uczynić tego samego w stosunku do niej.

- Andy mi powiedział, że właściwie rzuciłaś pracę
- odezwał się w końcu.

- Tak.

- Więc... myślisz o powrocie tutaj?

Skończyła zapinać kurtkę, przerzuciła przez ramię pasek od torebki i wsunęła ręce do kieszeni. Sekundę wcześniej gotowa była przysiąc, że on chce się jej pozbyć. Teraz oparł się plecami o zimną, kamienną ścianę przedsionka, rozstawił nogi i zaplótł ręce, zupełnie jakby szykował się do dłuższej pogawędki.

- Wróciłam do domu, żeby rozejrzeć się za jakimś zajęciem - przytaknęła.

- Co masz na myśli?

- Sprzedawanie prażonej kukurydzy, podawanie do stołu, machanie miotłą - rzuciła ironicznym tonem.

- Jestem wykwalifikowaną bibliotekarką od informatyki. Tym właśnie zajmowałam się przez ostatnie pięć lat.

- A na czym właściwie polega praca bibliotekarki od informatyki?

- Clay...

- Serio. Chciałbym wiedzieć.

Westchnęła.

- Większość poważnych firm zajmujących się techniką jest od lat skomputeryzowana, ale komputery nie zawsze ułatwiają korzystanie z informacji ludziom, którym jest ona potrzebna. Szybki dostęp do informacji może decydować o zyskach lub stratach, tak więc praca bibliotekarza od informatyki polega na organizowaniu, koordynowaniu i rozwijaniu systemów ułatwiających dostęp do informacji. Słuchaj, Clay, jesteś zajęty, ja lepiej...

- Zaczekaj jeszcze chwilę, może przestanie padać.

- Mówił dalej łagodnie. - Wygląda na to, że z robotą wstrześliś się w dziesiątkę. Zawsze lubiłaś książki.

- Aż za bardzo. Zastępowały mi realne życie. Czytanie stało się jednym z kilku moich nawyków, nad których zwalczaniem ostatnio pracuję. Do diabła z tym. Teraz będę sprzedawała prażoną kukurydzę.

- Rzuciła mu smutny uśmiech. Usta Clay'a zacisnęły się w wąską linię, a jego uważne spojrzenie utkwilo w jej twarzy.

Na dworze bez przerwy lało. W zaciemnionym korytarzu nie było nikogo. W małym kwadratowym przedsionku byli zupełnie sami, niczym na bezludnej wyspie. Pamiętała sprzed lat owo poczucie, że są tylko we dwoje przeciwko cholernemu światu. We wzroku Clay'a dostrzegała osamotnienie, a zarazem coś na kształt pożądania.

- Czy było bardzo źle? - zapytał cicho.

- Co?

- Rozwód.

Zacisnęła palce w kieszeniach kurtki. Spojrzała na niego chłodno, wysuwając podbródek ku przodowi.

- Nie musisz wciąż odgrywać roli starszego brata.

- Kto tu chce być starszym bratem? Zrobiłaś się nagle zbyt dorosła, nie potrzebujesz przyjaciela?

- W żadnym wypadku. - Starła się uśmiechnąć.

- Ten łobuz cię oszukał, prawda?

Brzmienie jego niskiego, ochryplego głosu spowodowało, że w oczach stanęły jej łzy. Wykonała bezradny gest, szukając właściwej odpowiedzi. Duma walczyła w niej gwałtownie z potrzebą zwierzenia się.

- Nie warto płakać nad rozlanym mlekiem, Clay. Cokolwiek zrobił mój eks-mąż, otworzyło mi to oczy na błędy, jakie popełniłam, na złe wybory, które

uczyniłam. Tak naprawdę to rozwód okazał się najlepszą *rzeczą*, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła. Potrzebowałam jakichś zmian w życiu i właśnie ich dokonuję. Jestem zupełnie zadowolona.

Nic nie mogło Liz zaskoczyć bardziej, niż nagły gest Claya. Wciąż trzymała ręce w kieszeniach, kiedy ją objął i przycisnął do siebie tak silnie, że aż zatrzeszczały kości.

- Co ty...?

- Nie myśl, że to jakaś głupia litość. To jest solidarność wobec pieskiego życia. Był czas, kiedy wymienialiśmy takich uścisków całkiem sporo.

- Tak. - W ułamku sekundy minione dziesięć lat przestało się liczyć. Zupełnie jakby to działo się wczoraj, pamiętała siłę jego ramion, bicie serca i promieniujące z niego ciepło.

Otoczyła go ramionami i przytuliła policzek do jego piersi. Czuła, jak obejmuje ją fala pożądania. Ciągłe obawiała się, że owej pierwszej nocy po powrocie do domu zaprzepaściła szansę odbudowy, tak jej niegdyś drogiego, związku z Clayem.

Kiedy wypuścił ją z objęć, uśmiechnęła się. Uśmiech zmienił się w chichot, gdy zaciągnął zamek błyskawiczny jej kurtki pod samą szyję, zupełnie jakby wyprawiał dzieciaka na dwór podczas śnieżycy.

- Masz coś na głowę?

- Nie.

Spojrzał ponuro na deszcz, a potem znowu na nią z udawanym gniewem.

- Nigdy nie wykazywałaś dość rozumu, aby nosić kapelusz.

- Ty też nie.

- To prawda, ale ja jestem duży, a ty wciąż nie

większa od okruszka. - Czubkiem palca dotknął jej nosa. - W drodze do domu nie pij lemoniady z obcymi mężczyznami.

Udała, że się zastanawia.

- Nie wiem, Clay. Zawsze lubiłam lemoniadę.

- Czy byłabyś uprzejma pójść sobie wreszcie, żebym mógł trochę popracować?

Jego leniwy uśmiech zgasł, gdy spoglądał, jak biegła co sił przez zalany deszczem parking. Wcale nie miał zamiaru brać jej w objęcia, nie chciał jej nawet dotknąć. Wiedział, że jej zapach jest dla niego zgubny. Myślał o tamtym draniu, który ją skrzywdził.

Jestem zupełnie zadowolona, powiedziała. Zadowolona? Gładko, jak po maśle, przychodziło jej mówienie o porzuceniu kariery, o przeprowadzce dla kaprysu, o poczynaniach zmieniających całe życie. Tamtej pierwszej nocy, kiedy wróciła do domu, mógł się osobiście przekonać, jak wyglądało to zadowolenie. Liz była zawsze światłem, promieniem słońca, słodyczą - wszystkim, co w życiu dobre, wrażliwe. Oddałby pięć lat za pięć krótkich minut z jej eks-mężem.

Na kilka krótkich chwil dał Liz możliwość odgrodzenia się od świata, od trawiącego ją smutku. To chyba nie było takie naganne.

Musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Dotknąłeś jej, ponieważ jej pragnąłeś. Zawsze jej pragnąłeś. Zostaw ją w spokoju. Łatwo dostrzec, że jest teraz wyczerpana.

Liz zawsze była damą przeznaczoną dla białego, a nie dla czarnego rycerza. Jej auto odjechało, deszcz mżył bez przerwy, a on ciągle tkwił w tym samym miejscu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Liz wracała właśnie z miasta do domu. Drzewa, rosące wzdłuż ulicy, skapane w słońcu, płonęły gorącymi kolorami jesieni, odcieniami rdzy, bursztynu, moreli i złota. Różnobarwne liście szeleściły pod stopami. Jesień niepodzielnie zawładnęła przyrodą. Wokół czuło się charakterystyczny dla tej pory roku zapach. Zbliżała się wigilia Wszystkich Świętych.

Szła miarowym, kołyszącym się krokiem, dopóki nie zrównała się z wysokim ogrodzeniem otaczającym teren szkoły podstawowej. Wówczas przystanąła. Dziewczynki szalały ze skakankami, chłopcy grali w piłkę nożną. Śmiech i radosne głosy dzieci zdawały się wzbijać ku niebu. W pamięci Liz odżyły wspomnienia z lat szkolnych.

Minęły już dwa tygodnie, odkąd wróciła do domu. Wbrew obawom nie miała wyrzutów sumienia. Co ty sobie właściwie wyobrażasz, Liz, kiedy tak spacerujesz w biały dzień, zamiast być w pracy? Czy ani trochę nie martwisz się o stan konta w banku?

Cóż, trochę się tym przejmowała, ale tylko trochę. Włóczyła się po okolicy, wysypiała za wszystkie czasy, jadła z wilczym apetytem, grzała się w promieniach jesiennego słońca. Spotykała się ze starymi znajomymi oraz przymierzała do różnych nowych spraw. Życie, ono jest takie cenne. Jak mogła o tym zapomnieć?

Przypomniała sobie byłego już teraz męża i wszystkich przyjaciół, z którymi razem chodziła do szkoły.

Wielu spośród nich z głową pełną marzeń o nieprzemijającym szczęściu, pobierało się zaraz po skończeniu ostatniej klasy. Sądziła, że jest mądrzejsza od innych. Rodzice kochali się, a mimo to rozwiedli. Widocznie małżeństwo nie daje wystarczającej gwarancji, że miłość przetrwa życiowe burze. Utrzymanie uczucia wymaga wysiłku, a także kompromisów. Liz wyszła za porządnego człowieka i miała szczerzy zamiar być dla niego dobrą żoną.

Starła się. Prasowała koszule i przedzierała się przez książki kucharskie, słuchała symfonii i uprawiała jogging, wszystko po to, aby stać się wzorową żoną. Podejmowała te wysiłki wbrew sobie, bo nienawidziła prasowania, gotowania, muzyki klasycznej i pocenia się od zawsze.

Wydawało się jej wówczas, że wszystkie owe małe, niewinne oszustwa są konieczne. Sądziła, że dzięki nim sprostą życiowym wymaganiom i przyczyni się do tego, żeby jej małżeństwo było udane. Kobieta powinna być tą, która daje. Tak sądziła.

Jednak nie przypuszczała, że cena może być aż tak wysoka. Nie podejrzewała, że drobne kłamstewka i ustępstwa zabijają i tak przecież słabe uczucie. Pewnego dnia Liz odkryła, że trudno jest sypiać co noc z mężczyzną, którego się nie kocha.

Kiedy dowiedziała się, że Dawid ma kogoś, poczuła się początkowo skrzywdzona i oszukana. Z czasem ogarnęła ją nieopisana ulga. To był koniec. Nie musiała już niczego udawać. Dawid przez ponad rok nie zgadzał się na rozwód, twierdząc, że należy im dać szansę.

Tłumaczył, że nie zainteresowałby się żadną kobietą, gdyby ona okazywała mu więcej ciepła i uczucia.

Mogła być niepoprawną kłamczucha, lecz z pewnością nie była pozbawiona temperamentu.

Liz przymknęła oczy. Czuła na twarzy delikatne słoneczne promienie. Pod nogami łagodnie szeleściły liście. Poczucie zawodu nie opuszczało Liz przez rok. Zasłużyła sobie na nie. Popełniła poważny błąd i powinna wyciągnąć z niego odpowiednią nauczkę. Podobna sytuacja nie może się powtórzyć.

Nigdy nie czuła się tak niepewnie, jak przez ostatnie dwa tygodnie. Czas przeciekał jej przez palce. Nie podjęła pracy, konto topniało. Była przerażona... ale jej determinacja stale rosła. Grała o wysoką stawkę - o trwałe miejsce w życiu i poczucie bezpieczeństwa.

Piłka przeleciała nad szkolnym ogrodzeniem i grupa chłopców rzuciła się w ślad za nią. Liz z uśmiechem odrzuciła piłkę i dopiero wówczas zwróciła uwagę na jednego z malców. Mógł mieć osiem, dziewięć lat.

Nos był usiany piegami. Głowę pokrywała strzecha jasnobrązowych włosów. Nie związane sznurowadła całkiem się poplątały. Na kolanach trzymał grubą książkę. Piłka przelatowała ponad nim tam i z powrotem, chłopcy grali zapamiętale. Mimo to nie ruszał się z miejsca. W jakimś momencie spokojnie osłonił głowę ręką przed uderzeniem piłki.

Liz domyśliła się, że to syn Claya.

Dziecko miało w sobie upór kogoś, kto nawet wśród tłumu zachowuje własną odrębność. Pochłonięty czytaniem ignorował niebezpieczeństwo. Wydawało się, że przystąpił do tej grupy na swoich warunkach, zachowując niezależność.

Dzwonek oznajmiający koniec przerwy wywołał gorący protest, lecz mimo to dzieci posłusznie pobiegły w kierunku drzwi szkoły. Mały poderwał się, trzymając nadal otwartą książkę. Liz nie mogła się powstrzymać, by nie zawołać:

- Spence?

Zdziwiony odwrócił się, mrużąc w słońcu brązowe oczy. Miał oczy Claya, podbródek wysunięty wyzywająco do przodu. Zapytał podejrzliwie i czujnie zarazem:

- Pani mnie zna?

- Nie - potrząsnęła przecząco głową. - Znam twojego ojca i kiedy tylko cię zobaczyłam, byłam pewna, że jesteś jego synem.

- Mój tatuś ma na imię Clay, ale ja nie rozmawiam z nieznajomymi.

- Nie powinieneś - zgodziła się. Zrobiło jej się naraz głupio. - Chciałam cię po prostu spotkać, powiedzieć ci cześć - gmatwała się coraz bardziej.

- Wiem, że musisz już wracać na lekcję.

- Tak, robią piekło, jeśli ktoś się spóźnia. - Pomachał jej. - Do zobaczenia, wkrótce.

Nie zwróciła uwagi na sposób, w jaki się wyrażał. Obserwowała go z uśmiechem. Szedł ku drzwiom spokojnym krokiem, nogi stawał pewnie, a kurtkę miał rozpiętą, chociaż dzień należał do chłodnych. Syn Claya, z całą pewnością.

Coś było w mężczyznach z rodu Stewartów. Nawet tych najmłodszych. Pokochała ośmioletniego chłopca od pierwszego wejrzenia. Po krótkiej rozmowie uświadomiła sobie, że mimo długiej, dziesięcioletniej nieobecności, nadal kocha jego ojca.

Clay wysiadł z auta. Zapiął kurtkę, aby osłonić się przed chłodnym wiatrem i ruszył w kierunku garażu. Soczyste przekleństwa dolatywały z okolic porzucanego samochodu. Clay dostrzegł jedynie nogi Andy'ego wystające spod karoserii.

- Potrzebujesz pomocy?

Andy wydobył się spod auta z zabrudzoną twarzą i brudnymi rękami. Minę miał mocno niezadowoloną.

- Potrzebuję nowego auta.

- Powtarzam ci to od czterech lat.

- Tym razem mówię poważnie.

- To też już słyszałem.

- Obliczyłem sobie, że skończę do Monday Night Football. A właśnie, która to godzina?

- Zaraz będzie przerwa w meczu.

- W takim razie starczy tego dobrego. - Andy podniósł się, sięgając po szmatę do wytarcia rąk.

- Wejdźmy, napijemy się piwa.

Utrzymujący się od tygodnia ból głowy nasilił się, gdy tylko Clay znalazł się w kuchni. Wyglądała zupełnie inaczej, odkąd przyjechała Liz. Na kuchennym stole stał wazon żółtych astrów, na krześle wisiał różowy sweter. Brudne talerze nie zagracały zlewu, a w całym domu unosił się zapach pasty do podłogi. Liz bezapelacyjnie zawojowała jeden z ostatnich kawalerskich bastionów Ravensport.

Nie było jej.

- Gra Dallas. Powinien być dobry mecz. - Andy zerwał kapsel i wręczył piwo Clayowi, choć ten wcale nie miał na nie ochoty.

- Fajnie. Gdzie ona jest?

- Liz? - Andy lubił stawiać kropki nad i. - Śledzenie mojej siostry w tych dniach przypomina próby złapania świętojańskiego robaczka - zauważył dowcipnie i dodał z poważną miną. - Nie jestem pewien, czy pamiętam, co robi dziś wieczorem. Chyba jest po prostu w kinie.

Włączył telewizor i usiadł na najbliższym krześle. Przechylony do przodu, z nogami rozstawionymi jak do uderzenia piłki, przyjął pozycje wytrawnego kibica.

Clay odczekał dłuższą chwilę, zanim zapytał:

- Sama?

Andy podniósł wzrok.

- Co, sama?

- Czy poszła do kina sama?

- Spójrz na tego kopa!

- Tak. - Clay pociągnął trzy łyki piwa. Nie było sposobu, żeby oderwać Andy'ego od obserwowania meczu. Spojrzał z nadzieją na zegarek. Przerwa powinna nastąpić za trzy minuty, ale przy futbolu równie dobrze mogła być i za dziesięć.

Dwadzieścia minut później Andy zdecydował się nareszcie wstać z krzesła.

- Zrobię trochę prażonej kukurydzy. Chcesz jeszcze piwa?

- Nie, dzięki.

- Jak z małym?

- Nieznośny. - Clay musiał się pilnować, aby w jego głosie nie zabrzmiała duma. - Próbowałem dziś wieczorem pomóc mu w odrabianiu zadań domowych, ale w matematyce on jest już lepszy ode mnie. - Stojąc w drzwiach obserwował, jak jego przyjaciel leje olej do głębokiej patelni i ustawia palnik na wysoki płomień. Andy był jednym z nielicznych ludzi na ziemi, przy których mógł swobodnie mówić o Spence'ie, ale tym razem zajmował go inny temat. - Czy wiesz, kogo często widuję w barze? - zapytał od niechcenia.

- Owszem. Przystojne, samotne kobiety.

- Świeżo rozwiedzione kobiety - poprawił z irytacją Clay. Kiedy pierwsze ziarenko kukurydzy pękło z trzaskiem, starym zwyczajem poszedł do lodówki po masło.

- Stale obserwuję to samo. Nieważne, w jakim są wieku, jak długo były mężatkami ani jak potoczyła się

ich historia. Po rozwodzie wszystkie zdają się przechodzić przez te same stadia. Najpierw pojawia się głęboki smutek i rozczarowanie po nieudanym małżeństwie.

Andy rzucił mu spojrzenie wyrozumiałe, a zarazem rozbawione. Ich męskiej przyjaźni nigdy dotąd nie urozmaicały dysputy filozoficzne, ale odstępstwo od normy u starych przyjaciół da się usprawiedliwić. Clay wytrwale brnął dalej:

- Potem nadchodzi stadium paniki. Nie są pewne, czy same dadzą sobie radę, tracą wiarę we własne siły, boją się drugiego błędu, kolejnej próby...

- Czy ty się aby dobrze czujesz? - przerwał mu Andy.

- Świetnie. - Clay odchrząknął. - W każdym razie, te dwa etapy są dla kobiety dosyć trudne, ale najgroźniejsze jest stadium trzecie. Dama raptownie wpada w euforię. Wolność potrafi mocno zasumieć w głowie, zwłaszcza kiedy przez jakiś czas trzeba się było ograniczać. Tak więc ona nagle zaczyna się spieszyć, żeby sobie udowodnić, iż jest nadal atrakcyjna i może pełną garścią czerpać z życia. Wszystko byłoby w porządku... tylko widuje się wiele kobiet, które wyczyniają takie rzeczy, na jakie by sobie przedtem nie pozwoliły. Przyspieszają zbyt gwałtownie, działają, jakby były zupełnie pozbawione zasad, być może stają się nawet trochę, no, nieobliczalne.

- Bardzo interesujące - rzekł poważnie Andy.

Clay przesunął dłonią po włosach.

- Słuchaj, próbuję rozmawiać z tobą o Liz.

- O mojej siostrze? - Andy ze śmiechem potrząsnął głową. - Daj spokój, Clay. Znasz Liz równie dobrze, jak ja. Nie twierdzę, że nie przeżyła ciężko rozvodu. Wciąż zresztą żywi niczym nie uzasadnione przeświadczenie, że to ona jest wszystkiemu winna. Ale poza tym ma głowę na karku, zawsze ją miała.

- Tak.
- Liz jest twarda jak skała.
- Tak.
- Zresztą, nie należy do tego typu kobiet, o których mówiłeś.

- Tak. - Clay przytaknął, choć w duchu myślał co innego. Powinien był przewidzieć, że rozmowa z Andym nic nie da. Liz nie dopuściłaby do tego, żeby jej wizerunek w oczach brata raptem się zmienił.

Dallas skończyło rozgrywać mecz po jedenastej. Miseczka z prażoną kukurydzą została opróżniona, a Liz wciąż nie wracała. Clay trzymał szklanę z piwem, póki piana nie opadła, niemal co trzy sekundy zerkał na zegarek i starał się uciszyć niepokój.

Unikał jej przez cały tydzień. Problemy Liz nie powinny go obchodzić, bliższy zaś kontakt wprawiał go w wielkie zakłopotanie. Dama z klasą, ze stopniem *summa cum laude* nie potrzebuje mężczyzny z taką niekonwencjonalną przeszłością. Do diabła, chociaż poznał kawał życia, przecież z trudem ukończył szkołę średnią.

Szczerze martwił się tym, że Liz beztrąsko rozprawia o porzuceniu pracy, o przeprowadzce, o zasadniczej przebudowie całego swojego życia.

Była po rozwodzie, w stadium odzyskiwania wolności. Wiedział o tym. Obserwował to setki razy. Aby bolesna, zasklepiająca się rana stała się blizną, należało koniecznie pokonać pewne etapy, których nikt nie mógł ominąć. Tylko że on nie chciał, aby Liz cierpiała.

- Co cię dziś, u diabła, napadło? - Andy domagał się odpowiedzi. - Nie spojrzalesz nawet na ostatnią zagrywkę.

- Oczywiście, że spojrzalem - skłamał. Kiedy trzasnęły frontowe drzwi, poderwał się gwałtownie z krzesła, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenie przyjaciela.

Stała w progu, ściągając kurtkę. Od razu dostrzegł, że nie była umalowana. Nerwy miał napięte jak struny. Liz włożyła uwydatniający piersi różowy sweter z angory. Spódnica za wysoko odsłaniała nogi. Policzki pokrywał rumieniec, jakby zimny wiatr je wysmagał. Na pewno nie przyszła z kina wprost do domu.

- Gdzie byłaś? - warknął, zanim zdołał się powstrzymać.

Liz zdjęła wreszcie kurtkę, równocześnie uniosła pytająco brwi.

Kiedy tego popołudnia zobaczyła syna Claya, odbyła ze sobą szczerą rozmowę. Doszła do wniosku, że przez te lata nic się nie zmieniło. Fakt, że go nadal pragnęła, wzbogacał jej smutne życie.

Nawet gdy teraz groźnie na nią spoglądał, zaczynało jej bić mocniej serce. Niespodziewanie zapragnęła ujrzeć go nagim.

Pedantyczna, poważna bibliotekarka nie powinna myśleć o takich rzeczach.

- Wychodziłam - odpowiedziała sucho na jego pytanie, sięgając po miseczkę z prażoną kukurydzą, po czym spojrzała na brata:

- Jak mogłeś?

- Połowę z tego zjadł Clay.

- Jeden nie lepszy od drugiego. Mogliście trochę zostawić. Dallas zwyciężyło beze mnie?

- Nie - stwierdził ponuro Andy.

- Byłaś z kimś, kogo znam? - Clayowi udało się zapanować nad głosem i zapytać nieobowiązującym, zdawkowym tonem. Ale Liz i tak się skrzywiła.

- Z Frankiem Butlerem. Pamiętasz go, prawda? Chodziłam z nim w szkole na tańce. Dowiedziałam

się, że w międzyczasie ożenił się, rozwiódł, a teraz przejął po ojcu sklep z artykułami żelaznymi.

I zdecydowanie za często uczęszcza w piątkowe wieczory do baru. Spojrzenie Claya spochmurniało. Powłókł się za Liz do holu, gdzie powiesiła kurtkę, do kuchni, do której odniosła miseczkę po kukurydzy, wreszcie do drzwi. Zatrzymała się tam nagle z rękoma na biodrach.

- Czy do łazienki mogę pójść sama? - zapytała spokojnie.

Czekał na nią, kiedy wyszła.

- Możemy przez parę minut porozmawiać, czy jesteś zmęczona?

Zawahała się.

- Andy?

Powiedziała bratu, że wychodzą, po czym chwyciła okrycie, niepewna w co się wdaje. Zaciśnięte usta Claya, ponure spojrzenie i chmurna mina ostrzegały, żeby się mu nie sprzeciwiać.

Doszli do długiej, drewnianej huśtawki z porzewiałymi metalowymi łańcuchami. Nie najgorsze miejsce do obłaskawiania tygrysa. Jesienne niebo iskrzyło się od gwiazd. Panował orzeźwiający chłód, otulała ich przyjazna ciemność.

- Jak można nie kochać jesieni? - odezwała się Liz, splatając ręce.

Pytanie nie wywarło na Clayu większego wrażenia. Liz zwinęła się na jednym końcu huśtawki z kolanami pod brodą, on rozsiadł się na drugim, z nogą na ziemi, by utrzymywać huśtawkę w ruchu. Siadywali w ten sam sposób przed dziesięciu laty. Zapadła cisza, Liz zdawało się, że potrzebował czasu do namysłu.

Obserwowała jego twarz, skąpaną w świetle księżyca. Rozmaite perypetie ostatnich trudnych lat wyrwały na

niej bruzdy i zmarszczki. Poza tym właściwie się nie zmienił. Nadal był skory do kłótni, choć umiejętniej to ukrywał. Zachował dawną stanowczość.

Clay powoli się uspokajał. Patrzyła, jak jego rysy z wolna łagodnieją i naszło ją dziwne pragnienie, aby go przytulić. Nie chodziło o seks; wiedziała, że Clay zaznał w życiu niewiele miłości i że sam musiał borykać się z kłopotami.

- Miałeś ciężki dzień? - zapytała w końcu.

- Piekielny. - Wyciągnął się na plecach, zakładając ręce pod głowę. - Musiałaś zauważyć. Sądzę, że zachowywałem się zbyt obcesowo.

- Nieco - odparła chłodno. Łańcuchy huśtawki rytmicznie skrzypiały.

- Udało ci się spotkanie z Frankiem?

- Tak.

- Umówisz się z nim znowu?

- Nie. - Jedyne, co należy uczynić, aby mężczyzna się odprężył, to dać mu, czego oczekuje. - Dobrze jest znaleźć się w domu, spotkać ze starymi przyjaciółmi, z którymi chodziłam do szkoły. Frank zawsze był dobrym kolegą i ma duże poczucie humoru. Chociaż za bardzo się nie rozwinął. Zawsze był powierzchowny, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Tak.

- Mam ochotę cię kopnąć - stwierdziła takim tonem, jakby prowadziła lekką konwersację.

Uniósł zdziwione oczy.

- Czy jesteś w stanie uwierzyć, że potrafię samodzielnie ocenić mężczyznę? Czy zapomniałeś, że nie mam nadal siedemnastu lat?

- Myślę - odpowiedział powoli Clay - że jesteś o wiele piękniejsza, znacznie bardziej niebezpieczna i niezwykła, niż przedtem.

Uśmiechnęła się.

- Czy to jest komplement?
- Nie liczysz chyba serio, że ci odpowiem.

Roześmiała się, przechylając głowę na oparcie huśtawki. Dobiegające zewsząd znajome odgłosy, przyjazna ciemność, bliskość Claya odprężyły Liz niczym perfumy chłodne i słodko pachnące.

- Clay? - Szukała oczami jego oczu.
- Hmmm?

- Nie chcę, żebyś się o mnie martwił. Przeżyłam długą drogę, popełniłam wiele błędów, które skomplikowały mi życie. Ale to nie znaczy, że nie potrafię kierować własnym losem. Nie wróciłam do domu, aby lizać rany. Potrzebowałam po prostu miejsca, żeby dojść ze sobą do ładu. Muszę się z tym uporać na własną rękę.

Milczał przez chwilę, następnie jednym szybkim ruchem pochylił się do przodu i objął ją. Była zaskoczona, ale nie sprzeciwiała się, kiedy przytulił ją opiekuńczo i oparł brodę na czubku głowy.

- A teraz słuchaj, słoneczko. Uczyniłem więcej błędów każdego dnia, niż ty w ciągu całego życia. Potrzebujesz kogoś, z kim mogłabyś porozmawiać, więc nie zapominaj, że ja tu jestem. Każdy czasem potrzebuje pomocy.

Wiedziała, że zbeształ ją, aby dodać otuchy i otoczył ją ramionami bez żadnej myśli. Ale nawet najbardziej niewinne zbliżenie wywoływało na niej wrażenie. Czuła, jak powolna słodka fala pożądania rozlewa się po jej wnętrzu od koniszków palców aż do głowy. Zimna październikowa noc stała się raptem upalna.

- Słyszałaś?

Odchyliła głowę.

- Tak. Każdy kogoś potrzebuje. A ty, Clay, kiedy ty potrzebujesz kogoś?

Uniósł brwi.

- Samotność i lęk są wpisane w życie. Nigdy nie twierdziłem, że jestem na nie uodporniony. Mówiłem, że przeżyłem trochę więcej niż ty. To absurd, żeby nie przyjąć pomocnej dłoni tylko dlatego, że jest się zbyt dumnym.

Lecz Liz była uparta. - A zatem, kiedyż to prosiłeś o pomoc kogokolwiek?

- Liz...

Starał się zmienić pozycję. Zaczynała się irytować. Clay był dla niej ostoją, azylem, mimo że to on dyktował warunki ich przyjaźni. Nie żądał od niej niczego. Nie spodziewał się, że będzie reagowała na jego męskość.

Ale teraz tak właśnie się działo. Sądziła, iż nie ma potrzeby informowania Claya, że już dawno nie jest dzieckiem, lecz dorosłą kobietą, która - tak jak i on - zaznała samotności. Życie jej nie oszczędziło. Gdy była nastolatką, nie potrafiłaby mu niczego ofiarować. Mogłoby się wydawać, że teraz, kiedy znalazła się na rozdrożu, skupi się na sobie samej. A przecież wiedziała o wiele więcej o mężczyznach, o życiu. W każdym razie dostatecznie wiele, aby rozpoznać człowieka, który dałby jej wszystko niczego nie żądając w zamian. Niewypowiedzianie miękko powiedziała:

- Uważasz, że aż tyle przeżyłeś, że jesteś teraz o wiele mądrzejszy?

- Wiem, że tak.

- Za dużo wina, kobiet i śpiewu?

- Inaczej trudno by mieć tego dość.

Potrząsnęła głową, odwracając się w taki sposób, aby widzieć jego twarz.

- Nie wierzę, że naprawdę miałeś dość - zabawy, śmiechu, ludzi, którym mogłeś naprawdę zaufać, kobiet, które znaczyły dla ciebie więcej niż inne.

Rozchylił usta, żeby odpowiedzieć. Ale nie odezwał

się ani jednym słowem. W chwili gdy Liz dotknęła jego policzka, nastąpiła cisza. Przyłgnęła do niego mocniej. Powiodła kciukiem wzdłuż mocno zarysowanej szczęki i śladu zarostu na brodzie. Niespokojne, niemal czarne w tej chwili oczy Clay'a lśniły ponad zaciśniętymi ustami. Drgnął, gdy tylko uczuł dotyk jej ręki. Być może potrafił przekonać cały świat, że nie jest wrażliwy, ale Liz wiedziała, że to nieprawda.

Kiedy wreszcie przemówił, jego głos brzmiał leniwie i spokojnie, z nutką rozbawienia.

- Co ty właściwie wyprawiasz?

Ich spojrzenia spotkały się. Było absolutnie jasne, że Liz doskonale wie, co robi.

Palcami rozczesywała jego włosy. Były gęste i gładkie. Sprężył się raptem. Ujął jej dłoń w swoje, jak w kleszcze.

- Dama jest już wystarczająco duża, aby wiedzieć, iż nie należy igrać z niedźwiedziem.

- Owszem - potwierdziła zimno.

- Czy Butler zaprosił cię po kinie na wino?

- Nie piłam ani kropli. - Dotyk jej warg był niesłychanie delikatny. Clay nawet nie drgnął. Zorientowała się, że wstrzymał oddech. Posąg okazałby więcej emocji. Widocznie chciał przeczekać jej niewłaściwe zachowanie, tak jak rodzic cierpliwie znosi wybryki dziecka, póki brzdąc nie odzyska zdrowego rozsądku.

Jenak Clay nie wziął pod uwagę faktu, że ich zbliżenie przypomni Liz wszystkie te wspaniałe odczucia, których nie spodziewała się już nigdy zaznać. Przynajmniej tak jej się wydawało przez całe lata. Nagle okazało się, że jest zdolna do miłości. Nagle zapragnęła dowiedzieć się kim ona była dla niego.

- Liz...

W jego głosie pojawiła się niebezpiecznie wibrująca nu-

ta i Liz wiedziała, że Clay znajduje się na granicy wytrzymałości. Poczwała, jak jego ręce zeszywniały i zrozumiała, że on chce ją wypuścić z objęć, lecz nie zrobił tego. Jego usta znalazły się na jej wargach chłonąc ich słodki smak.

Pocałunek wzniecił płomień gwałtownego, nieokiełzanego pożądania. Przytulił ją mocno, jakby odzyskiwał coś, co kiedyś utracił. Niecierpliwymi rękami dotknął jej twarzy, pogładził włosy. Przygarnął ją do siebie jak najbliżej, całował raz po raz, zupełnie jakby nie mógł przestać. Liz nawet nie starała się protestować.

Na huśtawce nie było zbyt wygodnie. Czuła, jak kolano Claya wbija się jej w plecy, nogę miała niewygodnie opartą o jego pierś. Ale to nie miało znaczenia. Język Claya wypełnił jej usta, z głębi jego gardła dobiegał chrapliwy, urywany głos.

Liz przegięła się ku niemu w oczekiwaniu i przyzwoleniu. Przejmujące na wskroś pożądanie było zupełnie nowym przeżyciem. Nigdy żaden mężczyzna nie wywołał w niej takiej namiętności. Gorące pocałunki, mocne bicie serca, chrapliwy oddech - Clay z pewnością nie całował małej dziewczynki.

Jego dłoń przesuwawała się ku górze po jej nodze, biorąc w posiadanie łydkę, następnie udo. Liz całowała jego szyję, z niecierpliwością starała się dotknąć jego nagiego ciała pod koszulą. Zamek błyskawiczny zgrzytnął w nocnej ciszy. Odnalazł jej pierś. Druga ręka nadal wędrowała w górę uda. Zdawało się, że Clay pragnie ogarnąć ją całą, że w dzikim, wściekłym pośpiechu chce ją posiąść, odkryć, poznać. Już. W tej jednej chwili.

Niespodziewany podmuch wiatru otrzeźwił ich. Clay odwrócił głowę, niczym ugodzony czymś ciężkim. Ciemne oczy wyrażały ból. Wstał razem z Liz, obciagnał jej spódnicę, sweter, zapiał kurtkę na zamek błyskawiczny.

Śledziła grę cieni i księżycowego blasku na jego zmarszczonym czole. Nogi się pod nią ugiwały. Jego oddech można było prawdopodobnie usłyszeć aż w Milwaukee.

- Teraz słuchaj - rzekł głuchym głosem.

Ale nie powiedział nic więcej. Oparł tylko ręce na biodrach, a następnie przesunął nimi po włosach. Popatrzył w niebo, przeniósł wzrok na nią, lecz oboje unikali swoich oczu. Wreszcie ponownie spróbował nawiązać rozmowę.

- Słuchaj, to był przypadek.

- Mhm.

- Zawsze mi ufałaś. Nie chcę zawieść tego zaufania, Liz. To się więcej nie powtórzy.

- Ufałam ci zawsze i nadal ufam - potwierdziła

- ale jestem pewna, że się powtórzy.

- Nie, nieprawda.

Poprawiła mu koszulę, zaciągnęła kurtkę na zamek błyskawiczny, wygładziła groźnie nastroszone brwi. Tak właśnie postępują strażnicy serca.

Spojrzała w górę, usłyszawszy, jak wzdycha z irytacją. Był nadal spięty, ale w jego twarzy dostrzegła figlarną iskierkę.

- Zamierzasz przysporzyć mi kłopotów, prawda?

- odezwał się oschle.

- Tak. Czy ustaliliśmy to już wreszcie?

- Liz.

Potrząsnęła głową. Opanował ją szalony, triumfujący nastrój, bo on też jej pragnął, ale tę radość zakłóciła obawa, ponieważ nie chciał się do tego przyznać.

Pogładziła go po policzku i ruszyła do domu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dwie noce później Liz daremnie próbowała zasnąć. Była już druga nad ranem, lecz sen nie przychodził. Nagle usłyszała stuknięcia żwiru w okno.

Mężczyzna, który stał na trawniku, był mokry i przemarznięty. Skórzana kurtka ledwie chroniła przed zimnem. Włosy w kolorze lisiego futra połyskiwały w deszczu. Szybko naciągnęła dżinsy, skarpetki, golf i zbiegła po schodach do ciemnego holu.

Gdy otworzyła drzwi, Clay natychmiast wtargnął do środka. Pokręciła karcąco głową. - Szkoda, że nie mam kaftana bezpieczeństwa.

- Wygląda na to, że już się obudziłaś, więc bez wymówek. Potrzeba ci butów, szalika, kurtki i rękawiczek.

- Leje. Czy ktokolwiek ci o tym powiedział? Jesienny deszcz, nie wiosenny.

- Byłem na dworze. Wiem. - Sięgnął do szafy stojącej w holu, podał Liz kurtkę i szalik. - Gdzie ty masz buty?

- A gdzie ty masz głowę? Wiesz, która godzina?

- Jakaś druga lub trzecia. - Wręczył jej rękawiczki, jedną białą, drugą czerwoną.

- Rzeczywiście - stwierdziła Liz. Zajęła się nakładaniem trykotowej czapeczki i darowała sobie kolejne uwagi. Nagle na jej ramiona niczym na ręce kukiełki, została wciśnięta kurtka. Nie spuszczać

oczu z Claya, nakładała buty i rękawiczki. Nigdy nie dawał się łatwo rozszyfrować, lecz teraz sprawiał wrażenie kogoś szczególnie tajemniczego. Twarz miał mokrą od deszczu. Poruszał się z tą specjalną, sobie tylko właściwą, leniwą pewnością i patrzył na nią w sposób zdecydowany i wojowniczy.

- Spacer w deszczu są niegroźne, inaczej nikt by nie wychodził - zapewnił.

Natychmiast, gdy tylko przekroczyła próg domu, ogarnęło ją przejmujące zimno. W sąsiedztwie nie paliło się żadne, nawet najmniejsze, światełko. Zalana deszczem ulica nie wyglądała zachęcająco. - Dokąd się wybieramy o tak późnej porze? - zapytała.

- Zabieramy na spacer nasze kłopoty.

- Aaach. Któż by pomyślał, że parę pocałunków na podwórzowej huśtawce może napędzić stracha takiemu dużemu, silnemu chłopcu jak ty?

Narzucił jej szybki rytm kroków. Niemal biegła u jego boku.

- Jeśli kiedykolwiek nadejdzie taki moment, w którym pocałunki takiej blond mizeroty wywrą na mnie jakieś wrażenie, dam ci znać. Wyszliśmy nie ze względu na mnie, lecz ze względu na ciebie.

- Och?

- Czy kiedykolwiek przedtem włożyłaś się w deszczu?

Zastanowiła się przez chwilę, po czym stwierdziła:

-Nie.

- To dobrze. Mówiłaś, że chcesz robić rzeczy, których dotąd nie robiłaś. A poza tym trzeba ci ruchu.

- Czyżby zmęczone kobiety przysparzały mężczyźnie mniej kłopotów? - Rzuciła Clayowi rozbawione spojrzenie.

W ciszy mijali kolejne domy. Clay miał rację, podejrzewając, że nigdy nie przechadzała się w deszczu.

Deszcz bywał uciążliwy, narzucał wybór stroju na drogę do pracy i z powrotem. Nigdy nie sądziła, że deszczem można się cieszyć, wdychać jego zapach, smakować.

Wysunęła język i usłyszała chichot Claya. Nie wątpiła ani przez chwilę, że gdyby o drugiej nad ranem znalazł się w towarzystwie jakiejś innej samotnej kobiety, to nie mókłoby w ulewnym deszczu. Ale Liz nigdy nie chciała być taka jak inne. Ponadto wydawało jej się, że Clayowi spacer też dobrze robi. Szedł swobodnie, z głową odrzuconą do tyłu. Jego oczy nabrały figlarnego wyrazu, gdy spostrzegł, że Liz się uśmiecha.

Maszerowali w milczeniu, póki nie zaczęły jej boleć stopy. Liz nagle znalazła się w innym świecie. Życie było takie interesujące. W towarzystwie Claya czuła przypływ nowych sił i entuzjazmu, który on w niej rozniecał. To, co przy nim stawało się naturalne, nigdy dotąd nie było zwyczajne z jakimkolwiek innym mężczyzną.

Wrócili do domu tuż przed świtem.

- Teraz uśniesz - powiedział, jak gdyby wiedział, jakie trudności miała z zaśnięciem w ciągu paru ostatnich nocy.

- Clay?

Zmierzał już w stronę auta, lecz zawrócił. Liz wciąż stała w tym samym miejscu. Przyszło jej do głowy, że oto znowu coś od niego otrzymała, tak zwyczajnie i po prostu.

- Dziękuję - szepnęła. Następnie, wiedzioną jakimś impulsem, podniosła głowę i przywarła ustami do jego warg.

Utrzymawał wprawdzie, iż pocałunki takiej blond mizeroty nie robią na nim żadnego wrażenia, ale czuła, jak jego ciało ogarnia gwałtowny dreszcz,

a pocałunek staje się coraz bardziej gwałtowny. Na chwilę się od niej oderwał i westchnął ciężko.

- Nie.

Zdawało się, że zawarł w tym jednym słowie wszystko, co chciał powiedzieć, lecz Liz nie ruszała się z miejsca. Wreszcie dotarł do auta. Oparł się rękami o dach, przez chwilę zachowywał nieprzenikniony wyraz twarzy, jakby o czymś sam siebie przekonywał, w końcu rzekł: - Wspominałaś, że chcesz się spotkać z moim synem. Za parę dni Wszystkich Świętych. Czy odpowiada ci szósta trzydzieści?

Nadszedł dzień Wszystkich Świętych. Od rana Clay rozmyślał o poznaniu Liz ze Spence'em, które jeszcze parę dni temu wydawało mu się dobrym pomysłem.

Wyciągnął Liz na nocny spacer w deszczu, aby przestała zadrećcać się swoimi osobistymi problemami. Miał jak najlepsze intencje. Od tamtego czasu nie przestawał się martwić. Liz była nazbyt wrażliwą kobietą. Po swoich przejściach potrzebowała spokoju, a także kogoś, kto by ją podtrzymał na duchu i wysłuchał. Doskonale zdawał sobie sprawę, że mógł znaleźć się wtedy obok niej inny mężczyzna i ta świadomość doprowadzała go do furii.

Niewinny spacer w deszczu zdawał się początkowo doskonałym lekarstwem na złe samopoczucie Liz.

Wszystko się zmieniło, gdy Liz przytuliła się do niego i oddała pocałunek. Nie przestawał myśleć o jej gładkiej skórze, gorących, chętnych ustach, przepastnych ciemnych oczach pełnych pragnień i obietnic.

Ani myślał zostawić Liz z kłopotami, lecz musiał zyskać pewność, że nie stanie się nic, co mogłoby doprowadzić do ich fizycznego zbliżenia. Dzień Wszyst-

kich Świątych nadawał się doskonale na przyjacielskie spotkanie, w którym mógłby uczestniczyć Spence.

Spence nie wdawał się w rozmowy ze znajomymi Claya, jeśli tylko miał co innego do roboty. Zarazem trudno by twierdzić, że Spence nie lubi przedstawielek płci żeńskiej. Kiedy już jednak przychodziło co do czego, Spence stosował własną, przez całe lata opracowywaną metodę terroryzowania każdej kobiety, która znalazła się w pobliżu Claya. Obecność Liz w wieczornych zabawach - wszystkie amerykańskie dzieciaki rozkoszują się straszeniem w dniu Wszystkich Świątych - wypełni czas i powstrzyma Claya od niestosownych myśli.

Ale kto mógł przewidzieć, że Liz pojawi się w drzwiach ubrana w obdartą, perkalową spódniczkę, z nosem usianym sztucznymi piegami i z pękiem wetkniętych za ucho wstążek? Najwyraźniej jego syn również się tego nie spodziewał.

- Więcej makabry, proszę - zażądał Spence, wyrывая Claya z zamyślenia.

- Nie sądzisz, że jesteś już wystarczająco potworny?

- Do diabła, nie. Chcę wyglądać absolutnie przerażająco. Siac niesamowitą grozę. Moje rany powinny broczyć krwią.

- Robi się, kochanie - Liz, z małą białą tubką, nachyliła się nad nim. Spence siedział na sedesie z uniesioną twarzą i skrzyżowanymi nogami. Buzię miał pomalowaną na biało, jedno oko było obwiedzione niebieskim kwadratem, brwi zaś wściekle żółte. Powoli, lecz zdecydowanie Liz naniosła czerwoną bliznę z boku, poniżej ust. Odstąpiła o krok, aby przyjrzeć się własnemu dziełu.

- Zobacz teraz - zaproponowała.

Spence, w jednej tenisówce, wskoczył na sedes, żeby obejrzeć twarz w lustrze. - Do diabła, wyglądam wspaniale!

- Przestań kłąć. - To były pierwsze słowa, jakie udało się wykrztusić Clayowi w ciągu ostatniej pół godziny. Spence nie zwracał na niego uwagi, ale Liz rzuciła mu pełne zdziwienia spojrzenie: zdawało mi się, że mówiłeś, iż on nie cierpi kobiet.

Cóż mógł odpowiedzieć? Odkąd się pojawiła, Spence'owi nie zamykała się buzia.

- Nie sądzisz, że przydałoby się jeszcze trochę krwi?

Liz po raz drugi obejrzała krytycznie twarz Spence'a.

- Myślę, że wyglądasz po prostu świetnie, ale sam zdecyduj.

- Co o tym sądzisz, tato?

- Sądzę, że czas już zabrać was - odchrząknął Clay - dzieci, na wyprawę, jeśli chcecie coś nazbierać do tych waszych świątecznych toreb.

Clay zatrzymał auto przy sąsiednim domu, oświetlonym przez uliczne latarnie. W oknach jarzyły się świece, powstawiane w wydrążone dynie. Dorośli mieszkańcy znaleźli się w sytuacji rodem z filmów grozy. Wokół domu biegały dzieci w strojach klaunów i Drakuli. Wiedźmy podskakiwały obok urwisów w maskach. Pewien bernardyn z cebrzykiem na szyi nosił rozmaite trofea pod drzwiami. Panowała specyficzna dla tego dnia atmosfera strachu i zabawy zarazem. Sierotka Liz z upiorem Spence'em przeprowadzili atak na pięć domów, zanim rozdokazywani przybiegli do auta. Liz z rozmachem opadła na siedzenie obok Clay'a.

- Spójrz na moją zdobycz - zapiszczała radośnie.

- Taak. Pohandlujemy?

Spence przekopywał się przez własną torbę.

- Pewnie, że pohandlujemy. Nienawidzę wyłamywania zębów. Co mi dasz za orzechy?

Clay masował palcami sztywniejący kark. - Nie wiedziałem, że zamierzasz pójść tam razem z nim - wymamrotał *sotto voce*.

- Obiecałam twojemu synowi - odparła po prostu Liz. Widocznie w jej przekonaniu takie wyjaśnienie było zupełnie wystarczające.

Rozwój wydarzeń wprawiał Claya w zakłopotanie. Był zdumiony, ale i ucieszony, że Liz i Spence tak łatwo nawiązali kontakt.

W chwilę później wpadło mu do głowy, że przecież bawili się świetnie wszyscy troje i nagle uświadomił sobie, że mężczyzna może się uzależnić od dziecka oraz kobiety równie łatwo jak od narkotyku.

Minęły dwie godziny, zanim ta dwójka poczuła się wreszcie zmęczona. Kiedy wrócili na motelowy parking, Clay podprowadził Liz do jej auta, a następnie Spence'a do drzwi. - Wpadnij do Camerona i pokaż mu wszystko. Zaraz wrócę.

- Nigdy w życiu nie dostałam tylu rzeczy. Musimy ją znowu zabrać! - wykrzyknął Spence. - Ona jest fantastyczna, tato.

Clay zdążył już zauważyć, że za każdym razem, kiedy Liz „handlowała”, jej torba jakimś cudownym sposobem pustoszała, podczas gdy torba jego syna wypełniała się po brzegi. Odwrócił się do piegowatej blond mizeroty, która, jak się okazało, podbijała bez wysiłku serca mężczyzn z rodu Stewartów.

Liz, oparta plecami o samochód, machała trzymanymi w rękę kluczykami. Jej rozjarzone oczy błyszczały niepokojąco.

- Co to za nieprawdopodobny dzieciak, Clay. Usłyszałam od niego chyba największy komplement w życiu. Powiedział, że zachowuję się nie jak dziewczyna. Uznał, że jestem normalnym człowiekiem.

- Jak sądzisz, ile lat musi mieć chłopak, zanim nauczy się trochę taktu? - zapytał słabym głosem Clay.

Roześmiała się i skoczyła mu na szyję. Gdyby przewidział, zrobiłby unik, ale jej dłonie szybko zaplotły się wokół jego karku. - Dziękuję, że mnie zaprosiłeś. Naprawdę cudownie spędziłam czas. - Wspięła się na palcach. Ręce Claya same, bez udziału jego woli, pogładziły jej włosy, rozgarniając wstążki. Była taka krucha i drobna. Liz zawsze smakowała jak zakazany owoc, którego nawet nie powinien chcieć.

Umiała sprawić, że mężczyzna zapominał o wszystkim. O dorastaniu z piętnem bękarta, matce, która zapełniała kuchnię głównie opróżnionymi butelkami, rzadko jedzeniem. Odchodziły w niepamięć dramatyczne wspomnienia z dzieciństwa i młodości, gdy z trudem łapał dorywcze zajęcia i pięściami torował sobie drogę przez życie, wszystkie te wysiłki, aby postępować jak należy, które najczęściej spełzały na niczym.

Musiał wychować Spence'a, więc wydobył się na powierzchnię i zdobył pewien status. Lecz nadal nie był miłym facetem. Niejedna kobieta rzuciła mu w twarz: „Drań”.

A Liz była taka szalona, wrażliwa, otwarta, gotowa do dawania. Cofnął się gwałtownie i przeraził, gdy na nią spojrział. Usta miała nabrzmiąle, włosy potargane, lśniące oczy.

- Nie - rzekł ochryple.
- Wszystko w porządku, Clay...
- Nie jest w porządku.

Raz tylko, jeden jedyny raz w życiu, właśnie teraz,

zamierzał postąpić właściwie. Mężczyzna, który tyle razy znajdował się pod wozem, nie powinien rozmieniać na drobne czegoś bardzo dla niego cennego. Liz była kobietą wartościową i wrażliwą.

Odkąd tylko Liz sięgała pamięcią, kran w łazience na dole przeciekał. Choć doskonale zdawała sobie sprawę, że jej kremowa wełniana spódnica i morelowa bluzka nie nadają się do takiej roboty, wyciągnęła z piwnicy stary zestaw narzędzi ojca, zakasała rękawy i pochyliła się nad umywalką.

Był piątkowy wieczór, Andy pojechał na randkę, zegar w holu wybił szóstą. Zdaniem Liz pora wręcz idealna dla rozwiązywania jej problemów.

Odkręciła nakrętkę u góry i zdjęła kurek, lecz główna śruba nie chciała ustąpić. Liz nie była tym specjalnie zdziwiona. W ciągu ubiegłego tygodnia wszystko szło jak po grudzie, od wyszukania pracy poczynając, a na Clayu kończąc.

Sięgnęła po puszkę starego oleju. W gruncie rzeczy nie miałyby nic przeciwko temu, żeby wpuścić parę kropel wprost do mózgu Clay'a Stewarta...

Ostatnie parę dni upłynęło jak za starych, dobrych czasów. Clay odwiedzał ją regularnie, udając, że nic się nie stało. W poniedziałek zjawił się z synem zaraz po szkole. Spence na rowerze, Clay na wypożyczonym tandemie i nalegali, aby pojechała z nimi na wycieczkę nad rzekę. We wtorek Clay pokazał się z dwoma pudełkami jej ukochanych, nadziewanych, czekoladowych eklerów. W środę przyprowadził Spence'a i we trójkę grabili liście.

Każdego dnia coś się działo. Nazywał ją „słoneczkiem”, „dzieciną” oraz „maleńką”. Targał ją za

włosy równie często jak Spence'a. Przekomarzał się, aż traciła cierpliwość. Liz nie była ślepa i głucha, więc Clay nie musiał wcale udowadniać, że traktuje ją wciąż niczym przybraną siostrę.

Czyżby więc już na dobre przestał się nią interesować? Wyśmienicie. Rozczarowanie życiem z powodu nieudanego małżeństwa szybko powiększało się o brak wiary we własną kobiecość. Nadal nie miała pracy, nie miała dosłownie niczego. Nawet podstaw, aby uwierzyć, że kiedykolwiek Clayowi na niej poważnie zależało.

Pewien wyłom w tej opinii wywoływało zachowanie Clay'a w chwilach zbliżeń. Reagował gwałtownie na najłżejszy dotyk Liz. Dostrzegła w Clayu bardzo troskliwego ojca, przeczulonego na punkcie własnej przeszłości. W oczach Clay'a czaiła się ta dawna nieufność wobec świata. Nadal też zaliczał się do ludzi, którzy umieją dawać, lecz nie potrafią brać. Czy istniał w ogóle ktoś, od kogo Clay by coś przyjął?

Gdyby Liz odważyła się na szczerłość wobec samej siebie, musiałaby przyznać, że sama obecność tego mężczyzny wywołuje w niej niezwykle uczucia.

Po rozwodzie obiecała sobie, że nigdy więcej nie będzie się oszukiwać. Chciała zaufać własnej kobiecej intuicji, postanowiła więc działać zgodnie z tym, co dyktuje jej serce. To prawda, ucieczka byłaby o wiele łatwiejsza. W chronieniu się przed prawdą zawsze była dobra. Ściśle mówiąc, była prymuską.

Miłość do nieodpowiedniego mężczyzny w niewłaściwym czasie przypomina szaleńczy skok ze skały. Nie ma w tym nic zabawnego, szczególnie jeśli mężczyzna specjalnie polubił słowo „nie”, a do tego odznacza się irytującym przyzwyczajeniem - lubi targać za włosy.

Przeklęty kran! Nie potrafiła go naprawić. Co prawda, dzięki olejowi główna śruba nieco puściła, lecz gdy tylko Liz ruszyła kluczem, woda trysnęła gwałtownie. Gniewnie wzniosła oczy ku górze, jakby chciała powiedzieć, dziękuję, tylko tego mi brakowało. Przekręcając klucz po raz drugi, usłyszała pukanie do kuchennych drzwi.

- Chwileczkę! - krzyknęła, zrywając się na równe nogi. Chciała sięgnąć po ścierkę, ale naturalnie nie było jej w pobliżu. Czy w tym tygodniu choć jedna rzecz może się udać? Woda się lała, a stukanie do drzwi nie ustawało. Zdenerwowana pobiegła otworzyć.

Przez szybę dostrzegła Claya, który stał w żółtym świetle podwórzowych latarni. Wiatr szarpał mu starą drelichową kurtkę i rozwiewał włosy. Kolejna niespodziewana wizyta starego kumpla, pomyślała bezradnie.

Z triumfującym uśmiechem zdobywcy pchnął drzwi, wpuszczając do domu falę zimnego powietrza. Tętno Liz momentalnie przyspieszyło, waliło nierówno. Czuła niepokojący dreszcz przebiegający całe ciało. Tyle lat wstrzymywany temperament budził się do życia, choć Clay nie robił nic, po prostu się śmiał z jej pobrudzonych olejem rąk.

- Nie mów mi, za co się wzięłaś. Wolę nie wiedzieć.

- Kran - wyznała smętnie, marząc w duchu, aby szlag trafił całą szczerłość wraz z tętnem i instynktem.

- Jakieś kłopoty? - zapytał kpiąco.

Uśmiechała się ironicznie, aż nagle uświadomiła sobie, że pewnie woda rozlewa się coraz szerzej. Rzuciła się z powrotem do kranu, ciągnąc za sobą Claya. Jego mina była jednoznaczna.

- Lepiej nic nie mów - ciągnęła Liz. - Ja naprawdę

umiem to naprawić. To tylko kwestia odpowiedniej uszczelki, a żeby ją wymienić, wcale nie trzeba siły.

- Oho, kobieta wyzwolona? Ryzykując burę, zapytam mimo wszystko, czy przyszło ci na myśl poprosić Andy'ego, żeby się tym zajął?

- Mojego brata? Czy widziałeś kiedyś, żeby choć raz zmienił olej we własnym aucie? Mógłbyś czekać na jego pomoc do sądnego dnia. Poza tym nie cierpię kobiet, które na widok młotka dostają palpacji serca. Jestem w pełni zdolna... - Westchnęła. Jedyne, co robi, to przekręci klucz.

Głos Claya był pełen skruchy.

- Słuchaj, jeśli sobie życzysz, wszystko zaraz poluzuję i będziesz mogła naprawić kran sama. Ja będę stał obok, mały, słaby i potulny.

Wizerunek potulnego jak baranek Claya rozbawił Liz. Zaśmiała się. Zrzuciła mu na głowę ręcznik, dwa inne cisnęła na podłogę, aby wytrzeć wodę.

- W następnym wcieleniu zamierzam mieć ramiona jak facet od przeciągania liny i jeszcze nauczę się zapaśniczych chwytów - poinformowała.

- Będziesz dość głupio wyglądać, jeśli zachowasz takie nogi. - Poukładał narzędzia w skrzynce. Nieco później oboje pochylali się nad umywalką, by umyć ręce.

- Szowinista - parsknęła Liz i śmiejąc się, rzuciła mu szybkie spojrzenie. To prawda, miała nie najgorsze nogi, lecz nie podejrzewała, żeby Clay to zauważył. - A gdzie Spence? - zapytała.

Ich mokre palce zetknęły się. W porównaniu z jej dłońmi, ręce Claya wydawały się ogromne; z jej wypukłymi paznokciami kontrastowały jego płaskie, kwadratowe; kostki jego palców, porośnięte rudawymi

włoskami, zdecydowanie różniły się od jej szczupłych, białych palców. Ręce mężczyzny. Ręce kobiety. Mężczyzna. Kobieta. Seks. Elizabeth, dlaczego nie zapędzisz tego wściekle aktywnego libido z powrotem, gdzie jego miejsce, myślała.

- Spędza noc u przyjaciół.

- Wyrwałeś się na trochę? Czy też chodzi o to, że największy biznes robisz w piątkowe wieczory?

- Zawsze w piątkowe - przytaknął Clay. - Zostawiłem wypełnioną po brzegi restaurację, zatłoczony motel i przepełniony bar - zdaje się, że to istotnie świetna pora, aby się urwać. Masz może jakieś trampki na wysokim obcasie? - Wręczył jej ręcznik.

- Słucham?

- Idziemy potańczyć.

Absolutnie dorosła dwudziestosiedmiolatka i jej opiekun będą mieli wychodne. Uśmiechnęła się do niego. - Myślałam przez chwilę, że powiedziałaś...

- Gdzie twój płaszcz?

Półtorej godziny później siedziała w klubie, na obitym pluszem krześle i trzymając w ręku *menu* starała się połapać, co zawiera karta przystawek. Albo *hors d'oeuvres* wypisano hieroglifami, albo Liz popadła we wtórny analfabetyzm.

„Thistles” znajdowało się w pół drogi do Milwaukee i spełniało rolę podmiejskiego klubu; byli tam kelnerzy w smokingach, irlandzki len, solidne ozdobne meble. Trzyosobowa orkiestra taneczna grała miłosne melodie z ostatnich lat. Liz po raz drugi przejrzała *menu* od góry do dołu. Clay siedział naprzeciwko, jego drelichowa kurtka leżała ciśnięta obok, a biała koszula opinała się na szerokich barkach. Wyglądał po swojemu, jak Clay.

Tyle tylko, że do tej pory Clay nie gustował w pod-

miejskich klubach, z całą ich pretensjonalnością i ceremonialnością. Miał do dyspozycji znakomitą własną restaurację. Natomiast jeśli idzie o nią, to dał jej jasno do zrozumienia, że jest ostatnią kobietą, którą zaprosiłby na kolację z tańcami. Więc może zachorował.

Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się. Musiał być niezdrów. Kelner z uprzejmym wyrazem twarzy zakręcił się nagle wokół nich. - Pozwolisz, że wybiorę? - zapytał Clay. Potwierdziła skinieniem głowy. - Dużą butelkę Chateau Lafitte dla pani...

Szeroko otworzyła oczy.

- A dla pana, sir?

- Jakieś piwo. Liz, czy życzysz sobie coś na przekąskę?

Owszem, najchętniej połknęłaby trochę nitrogliceryny, aby zapobiec atakowi serca.

- Chciałabym jeszcze zamówić ostrygi - zwróciła się do kelnera.

Clay rzucił w jej stronę zdziwione spojrzenie, ale Liz wysunęła tylko zawadiacko podbródek. To nie szkodzi, że nigdy przedtem nie próbowała ostryg.

Wciąż nie mogła pojąć, dlaczego zaciągnął ją do tej drogiej, snobistycznej restauracji. Co do jednego była pewna. Wreszcie przestał traktować ją jak małą siostrzyczkę. Gdy tylko kelner zniknął z pola widzenia, przechyliła się ponad stołem.

- Szybko! Zawołaj go z powrotem!

- Kogo?

- Kelnera - wyszczała.

Złośliwy grymas wykrzywił mu twarz.

- Czy chcesz odwołać zamówienie?

- Nie o to chodzi, ty wariacie! Chodzi o szampana.

Nie widziałeś ceny? Sto czternaście dolarów za butelkę!

- Skoro nie lubisz, możesz wylać do wazonu - doradził.

- Nie w tym rzecz! Clay, to szaleństwo marnować dobrego szampana dla kogoś, kto prawie nie pije.

- Wystarczy nam czasu, żeby choć jeden raz zatańczyć, póki kelner nie przyjdzie z zamówieniem.

- Wstał i wyciągnął rękę.

Kiedy wrócili, na stole stało już piwo dla Claya zwieńczone wielką czapą piany, a kelner czekał z butelką szampana. Liz, siadając, przytknęła na moment palce do skroni. Orkiestra grała walce. Już nie pamiętała, kiedy ostani raz tańczyła w takt staromodnego, romantycznego walca. Nigdy nie tańczyła z Clayem, który prowadził ją, jakby znajdowali się w wiedeńskiej sali balowej.

- Opowiedz mi o polowaniu na pracę. Ciężko?

- Trochę - przytaknęła.

- Sprawdziałaś w szkole i w bibliotece, czy nie mają wolnego miejsca dla bibliotekarki?

Przez chwilę milczała. Clay wpatrywał się w nią ponad stołem. Ciemne oczy śledziły uważnie każdą zmianę wyrazu twarzy Liz, zatrzymywały na unoszących się i opadających piersiach.

- Nie, nie szukałam pracy w charakterze bibliotekarki - powiedziała w końcu.

- Czemu, kochanie?

Umilkła, pociągając łyk szampana. Uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: - A nie mówiłem, że dobre? Jej milczenie zdawało się potwierdzać, że Liz doceniła zalety musującego napoju i uznała, że są warte, aby przez chwilę nic nie mówić. Tak istotnie było, ale o wiele silniej zakręciło jej się w głowie od fali gorąca, wywołanej jego spojrzeniami.

- Liz?

- Zamierzam ci wyjaśnić, ale nie będzie to łatwe - wyznała szczerze. - Ciężko pracowałam, aby osiągnąć jakąś pozycję w swoim zawodzie, więc musi cię dziwić, że planuję porzucić dotychczasowe zajęcie i rozglądam się za czymś innym. Dotychczasowa praca stwarzała mi poczucie bezpieczeństwa, spokoju. - Zważała się, gdy kelner ustawił przed nią talerz ostryg. Małe, srebrzystoszare kulki podano w efektownie garnirowanych zieleniną muszlach. Wyglądały... ślisko. Sprawiały wrażenie czegoś, co może skosztować tylko kobieta odważna, która nie zważa na opinię. Clay obserwował z uwagą Liz, gdy podnosiła maleńki, złoty widelczyk do ostryg. Na pewno zastanawiała się, jak go użyć. Szorstki zazwyczaj głos Claya brzmiał łagodnie.

- Powiedziałaś: bezpieczeństwo i stabilizacja?

- Tak, lecz równocześnie obawa, że nie wykorzystam innych szans. - Pociągnęła następny łyk szampana, trzymając wciąż w dłoni widelczyk. - Dłużej nie chcę tego ciągnąć. Dzień po dniu praca w papierach, nie z ludźmi, bez powietrza, monotonia bez... ryzyka. - Ostryga wślizgnęła się na jej język i spoczęła tam, niczym mokra, pokryta śluzem guma.

Mówił dalej, nie zmieniając tonu. - Wypluj to do serwetki, słoneczko. Nikt nie widzi. Zresztą, nawet gdyby patrzyli, gwizdałbym na to.

Podniosła śnieżnobiałą serwetkę do ust, udając, że pokasłuje. Powiodło się. Pociągnęła duży łyk szampana i odłożyła widelczyk. Następnie oparła podbródek na splecionych dłoniach i zerknęła na Claya.

- Cholera - wyszeptała ponuro.

Zachichotał.

- Chciałam je polubić, spróbować czegoś nowego, Clay.

- Tak, i właśnie z tego powodu przyprowadziłem cię tutaj, Elizabeth Brady, żebyś mogła skosztować ostryg i upić się szampanem, jeśli będziesz miała na to ochotę - rzekł spokojnie.

Wyraz jego oczu zmienił się. Już nie patrzył na nią czule jak kochanek. Twarz mu się ściągnęła.

- Potrzebujesz rozrywki, Liz. Wszyscy jej potrzebujemy, a chyba najbardziej wtedy, gdy życie daje nam w kość. Chyba nie jesteś jeszcze gotowa ani do ponownego małżeństwa, ani do poważniejszych uczuć. Lecz wspólny obiad, odrobina flirtu, szampana i tańca to nie tylko dobra zabawa, to również najlepsze lekarstwo na życiowe załamanie - dodał z namysłem.

- Jeśli nie ma w tym ryzyka.

Mimo okazałej ilości szampana Liz nagle zaschło w gardle.

- Kiedy jesteś ze mną, nikt cię nie skrzywdzi. Oboje zaś doskonale wiemy, że nie mamy szans na trwałą związek.

Powiedział to w taki sposób, jakby już sam pomysł był niepoważny.

Waza z epoki Ming podczas trzęsienia ziemi nie mogłaby poczuć się bardziej zagrożona i krucha niż Liz. Łudziła się, miała nadzieję, tymczasem zrozumiała intencję Claya opacznie. Wziął na kolację starego przyjaciela. Nie kobietę. Clay po prostu nie chciał dostrzegać w niej kobiety.

Być może nadszedł czas, aby przestała okazywać swoje uczucia mężczyźnie, który najwyraźniej ją odrzucał.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W motelu Claya znajdował się duży basen z podgrzewaną wodą. Zwykle jednak panował tam taki tłok, że Clay wolał korzystać ze stałego abonamentu w miejscowej YMCE. W czwartkowe wieczory o dziesiątej basen nieodmiennie świecił pustkami, a Clay miał prawo korzystać z niego nawet do jedenastej.

Kiedy wyszedł z przebieralni, uderzył go w nozdrza zapach chloru. Refleksy przejrzysto niebieskiej wody odbijały się w białych ścianach. Woda, cisza i samotność wpływały kojąco na napięte nerwy Claya, dopóki nie zauważył na ławce różowego ręcznika. Nie był sam.

Wbił wzrok w pływaka. Nawet z daleka dostrzegł, że była to kobieta. W pierwszej chwili pomyślał, że tylko mężczyzna mógł wymyślić kostium kąpielowy. W następnej, że ten skąpy, śmieszny skrawek materiału rozpoznałby wszędzie.

Rzucił na ławkę swój ręcznik i obserwował ją stojąc na skraju basenu. Trzy razy pokonała basen, a następnie zaczęła płynąć po raz czwarty. Bóg raczy wiedzieć, ile przepłynęła, zanim przyszedł. Ramiona rytmicznie uderzały w gładką tafłę wody. Kraul był pełen wdzięku, ale narzuciła sobie wręcz mordercze tempo. Clay zmrużył oczy, kiedy doliczył się dziesiątego okrążenia.

Zdyszana pływaczka odpoczywała chwilę przy drugim końcu basenu. Złociste włosy ciasno przylegały do głowy, krople wody błyszczały na szczupłych

barkach. Wyglądała na wyczerpaną. Pochyliła głowę odpoczywając, a on pomyślał: niech cię diabli wezmą, Liz. Wyłaż.

Ale nie wyszła. Odepchnęła się szczupłą nogą, płynąc tym razem na wznak. Przy końcu basenu ponownie zaczęła płynąć kraulem. Kolejny dystans. I jeszcze jeden.

W końcu wypłynęła przy tym skraju basenu, przy którym stał, trzymając w pogotowiu różowy ręcznik.

- Wychodź. Już raczej wyżywaj się na wrogach, słoneczko. Z wodą nie wygrasz. Ja też próbowałem.

Liz zaskoczona uniosła głowę. Człowiek, który ją tu wpuścił, nie wspomniał, że w czwartkowe wieczory basen stoi pusty, poinformował jedynie, że pływalnia jest otwarta do jedenastej. Clay podtrzymał ją za ramiona i pomógł wdrapać się na brzeg basenu.

Protestowałyaby, gdyby miała dość sił. Ale o mało nie pękły jej płuca, a kończyny ciążyły ze zmęczenia. Szarpnęła się parokrotnie, starając się oswobodzić, lecz wreszcie opuściła ją cała energia.

Gdy tylko oparła się plecami o ścianę, Clay natychmiast otulił ją ręcznikiem. Był tak gigantycznych rozmiarów, że mogła się nim owinać dwa razy. Uświadomiła sobie, że nie ma ochoty spotykać Claya, kiedy jej wargi są sine z zimna, a wyglądem przypomina zmkłą kurę, lecz musiała zapomnieć o kobiecej próżności.

Po pewnym czasie złapała drugi oddech. Gdy tylko wytarła oczy, zmierzyła wzrokiem Claya. Siedział obok, z nogami w wodzie. Równie dobrze mógłby być zupełnie nagi. Jego kąpielówki nie uchodziłyby za przyzwoite nawet na europejskiej plaży. Pierś miał

gładką, masywną, a muskularne barki świadczyły o sile fizycznej.

- Żyjesz jeszcze?

- Tak jakby. - Strużki wody nadal spływały jej po czole. Ze złością strzepnęła ręcznikiem. - Jak się ma Spence?

- Jeśli pytasz, jak ma się teraz, to dobrze, śpi. Jeśli natomiast interesuje cię, co nastąpi kiedyś, to zdaje mi się, że wychowuję dziecko, które mnie przeraża. Jest ośmioletnim tyranem, sprytniejszym, niż ja byłem kiedykolwiek. Nikt nie ma prawa powiedzieć temu potworowi, co powinien robić, a kiedy coś sobie postanowi, każdy, kto stanie mu na drodze... - Clay potrząsnął głową.

- Wziął to po kimś, kogo znasz? - spytała krótko Liz.

- Nie po mnie. Dzieciak ma mózg jak komputer. Ja z ledwością uzyskałem dyplom szkoły średniej. A ten kolekcjonuje stopnie. Ja tego nie robiłem. Spence nigdy nie wpada w tarapaty.

- Hmmmm... - wymamrotała Liz, uznając, iż tak będzie taktowniej. Nie chciała upierać się przy swoim. Jej zdaniem Spence stanowił żywe odbicie ojca. Uparty, samowolny i niezależny, a jednocześnie potrafił pracować nad sobą lepiej niż on. Pozostałe różnice nie miały znaczenia. Dziwiło ją, że Clay tego nie dostrzega.

- Liz?

Podniosła głowę.

- Unikałaś mnie przez cały tydzień. Nie mogłem cię złapać.

- Unikałam ciebie? Ależ skąd. Po prostu byłam zajęta.

Bezczelne kłamstwo, przemknęło jej przez głowę. Owinęła się szczelniej ręcznikiem. Przysięgała, że więcej nie skłamię ani sobie, ani nikomu. Chociaż zaczynała pomału rozumieć, że szczerłość i instykt samozachowawczy to nie to samo. Polubiła syna Claya, a on też przylgnął do niej całym sercem. To nie było w porządku spędzać z małym tak wiele czasu, pozwalać, aby zacieśniały się więzy, które dziecko mogło nieświadomie uznać za trwałe. Spence potrzebował matki, czy Clay chciał tego, czy nie. A przecież w „Thistles” Clay dał jasno do zrozumienia, że nie myśli ani o matce dla syna, ani o kochance. W każdym razie nie o Liz.

W ciągu ostatniego tygodnia Liz traktowała go więc tak jak sobie życzył, czyli jak przyjaciela. Przyjaciela ma się na dobre i na złe, można mu zawierzyć, odsłonić się, pozostać sobą wiedząc, że cię nie obgada.

Clay skinął w stronę wody.

- Wyładowujesz złość na kogoś, kogo znam?

Tylko na siebie, pomyślała, ponieważ cholernie nie chcę, żebyśmy byli jedynie przyjaciółmi, Clay.

- Nie wyładowuję żadnej złości, po prostu ćwiczę. Nie jestem w dobrej formie...

- Nieprawda. Wcale nie pływałaś ot, tak sobie.

Westchnęła, zirytowana.

- Przyszedłeś popływać prawda? Więc na co czekasz?

Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy Clay zerwał się na nogi i ruszył ku przeciwległej ścianie obok pryszniców. Przyszedł popływać, aby nie myśleć o brązowookim aniele. Ale zamiar się rozwiął, gdy tylko zobaczył Liz.

Ona też właściwie nie miała wyboru. Clay był

zawsze lepszy w działaniu. Chociaż przez ostatnich parę dni rozmyślał o Liz wystarczająco dużo. O mało nie oszalał.

Kantem dłoni uderzył w wyłączniki. Woda z niebieskiej stała się czarna. Światło księżycy z trudem torowało sobie drogę przez wysokie okna południowej ściany pływalni.

- Clay? Co ty, u diabła, wyprawiasz?

- Pamiętasz, jak się gra w berka? Wejź do wody, Liz, rozgrzejesz się.

- Graj sobie w berka z piłką do koszykówki, idioto. Włącz światła!

Nie mógł. Przez ostatni tydzień, podczas nieprzespanych nocy, przywoływał obraz jej twarzy. Po pewnym czasie zorientował się, że jej pocałunki być może wcale nie były przypadkowe. Właśnie dlatego zabrał ją do „Thistles”. do miejsca i ludzi, do których należała, tam, gdzie on nigdy nie poczuje się u siebie.

Drelich i jedwab, piwo i jej szampan, walc i rock. Uznał, że Liz dostrzegła wreszcie to, co dla niego było oczywiste od dawna.

Niepokoił go tylko wyraz jej twarzy. Nigdy nie chciał jej skrzywdzić. Przeciwnie, zawsze ją chronił. Potrzebowała przyjaznej duszy, wiedział o tym, dlatego odrzucenie, bez względu na formę, mogło stać się dla niej, tak jak dla każdej kobiety po rozwodzie, szczególnie bolesnym przeżyciem.

Spędził tydzień w przeświadczeniu, że go unika. Zdawał sobie sprawę, że z łatwością znajdzie innego mężczyznę. Miał pełną świadomość, że postępował niewłaściwie wobec bliskich sobie ludzi. Nigdy nie pomógł matce alkoholizce. Mary nie wyobrażała sobie małżeństwa z nim, nawet wtedy, kiedy zaszła

w ciąży. A jego syn, Spence, musiał spędzić dwa lata w domu dziecka, ponieważ ojciec miał reputację nieodpowiedzialnego faceta.

Nie chciał, aby Liz znalazła się w jego kręgu. Uzmysłował sobie, że Liz, z którą miał do czynienia na podwórkowej huśtawce jest kobietą bardzo niebezpieczną. Doszedł do wniosku, że jedynym mężczyzną, któremu by zaufał i pozwolił zbliżyć się do niej... jest on sam.

- Zdejmuj kostium, chudzielcu. To zabawa dla dorosłych.

Usłyszał, jak Liz głośno wciąga powietrze.

- Chyba zwariowałeś.

Słyszał już gorsze rzeczy. Wyraz oczu Liz rozdzierał mu serce. Dama potrzebowała radości. Chciał wreszcie usłyszeć jej śmiech.

- Liczę do dziesięciu, a potem cię gonię - ogłosił.

Początkowo Liz usiłowała zebrać myśli, ale potem ściągnęła ręcznik i wskoczyła do wody.

Usłyszała plusk i zorientowała się, że Clay zanurkował. Podążyła w jego ślady. Przeszukiwała mrok, wypatrywała choćby śladu cienia, nasłuchiwała najłżejszego dźwięku.

Nic, oprócz cichego brzęczenia filtrów, zapachu chloru, łagodnego plusku wody i ciemności. Nagle uczuła szczygnięcie w pośladek. Próbowana krzyknąć i natychmiast opiała się wody. Wychynęła na powierzchnię plując, z poczerwieniałą twarzą.

- Pięknie. - Ochrypły, złośliwy głos dobiegał z drugiego końca basenu. - Masz na sobie kostium. To żadna zabawa, słoneczko. Daję ci kolejne dziesięć sekund, abyś go zdjęła, w przeciwnym razie zrobię to sam.

- Niech cię piekło po... - zaczęła, ale kiedy tylko usłyszała plusk, zamilkła. Clay podążył za jej głosem. Zniknęło napięcie ostatnich dni. Ot, tak po prostu, zwyczajnie. Poruszała się energicznie. Za uszczypnięcie Clayowi należał się rewanz.

- Hej, kochanie! Będzie mi o wiele łatwiej, jeżeli zostaniesz na miejscu.

Płynęła pod wodą na wstrzymanym oddechu, tuż pod powierzchnią, gdzie wszystkie dźwięki słyszało się znacznie wyraźniej. On znajdował się bardziej z boku, tam gdzie głębiej, tuż nad dnem. Podpłynęła bliżej niemal bezszelestnie. Jedno szybkie szarpnięcie za kostkę i Clay poszedł w dół. Uciekła najszybciej jak mogła.

- Och, Liz. To był straszliwy błąd taktyczny. Zapłacisz mi teraz.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. Przez najbliższe parę sekund będzie bezpieczna. Ze środka basenu może uciec w każdą stronę.

- Chodź, kochanie. Przyjmij karę, jak przystoi kobiecie.

Wyciągnął ręce, rozpryskując wodę, nie starał się dłużej zachowywać cicho. Był pewny siebie. Zanadto, pomyślała Liz.

Wtem na plecach uczuła lekkie muśnięcie. Tak szybko zsunęły się paski jej kostiumu. Przez sekundę miała unieruchomione ręce. Poczuła dotknięcie nagiego męskiego uda oraz ręki. Całe ciało Liz przeszył dojmujący dreszcz.

Miał rację. To była zabawa dla dorosłych, gra wyjątkowo niebezpieczna, jeśli przeciwnikiem był Clay.

Szybko odepchnęła się nogami, instynktownie unikając jego rąk - chociaż niczyje ręce nie próbowały

jej zatrzymać. Ale rozumowała błędnie, przypuszczając, że została uwolniona. Puścił ją wprawdzie, lecz spożytkował całą siłę jej dzikiego, rozpaczliwego szarpnięcia w przód dla własnej korzyści. Bo ciągle trzymał paski jej kostiumu i nagle pociągnął ku dołowi. Kostium plątał się przez chwilę wokół kostek Liz, ale trwało to tylko moment. Była naga. Z płytkiego krańca basenu dobiegło ją złośliwe: - Wiesz, Liz, z męskiego punktu widzenia jedyna chyba rzecz na świecie, która jest warta większego zainteresowania niż kobieta w kostiumie, to kobieta bez kostiumu.

Liz nie posługiwała się nieprzyzwoitymi gestami, lecz czas i miejsce okazały się wyjątkowe. W każdym razie on nigdy się nie dowie, jaki gest uczyniły nad powierzchnią wody jej palce. Ale nieomal natychmiast odczuła pełne erotyzmu muśnięcie kciuka na obnażonych brodawkach piersi. Jeszcze szybciej ręka przesuwiała się w dół pleców, po biodrze i udzie...

Gwałtownie wydostała się z wody na drugim końcu basenu. Jej serce nie biło, ono po prostu waliło. Gdzieś w ciemnościach krył się diabeł. Diabeł, który zmienił wobec niej taktykę. Clay dotąd nie dążył do fizycznego zbliżenia, jeśli nie liczyć przypadkowych uścisków. Inicjatywa zawsze wychodziła od niej.

- Okay. Masz dość? Czy zaczynasz marznąć?
- Nie.
- W takim razie zmęczyłaś się.

Po nagłej zmianie tonu wywnioskowała, że Clay doszedł do wniosku, że się zagalopował.

- Nie możemy zakończyć gry, skoro brakuje zwycięzcy - nalegała.
- Zwycięzcy?
- Co powiesz na szybki pocałunek, jeśli w ciągu

pięciu minut mniej znajdziesz? O ile mniej znajdziesz, Clay.

Chwila ciszy, a później ochryple wezwanie: - Zaczynaj.

Clay nie chciał kontynuować tej niebezpiecznej zabawy. Postanowił w ten niecodzienny sposób dać do zrozumienia Liz, iż fakt, że ją odtrąca, wcale nie znaczy, iż przestał ją uważać za piękną kobietę. Odrobina grzechu potrafi ożywić leniwą krew. Wiedział, że nie posunie się za daleko, zatem nie mogło to nikomu zaszkodzić.

Nadal tak sądził, lecz chciał, aby zabawa już się skończyła. Okoliczności sprawiły, że dobre intencje gdzieś się zapodziały. Wyobraził sobie nagie ciało. Ciało Liz.

Clay odepchnął się od ściany basenu, przewidując, jaki będzie ten „krótki pocałunek”. Zanurzony w wodzie czekał w ciszy, gdy usłyszał jej oddech. Stała nieruchoma niczym posąg, najpierw w pewnej odległości, a potem znacznie bliżej. Zdradził ją blask oczu.

Dosięgnął jej ust. Liz nie przyszło do głowy, jak starannie Clay unikał dotyku jej ciała. Wszystko, o czym marzył, to przywrzeć ustami do jej warg. Nie miał zamiaru przekroczyć pewnych granic, ale mimo to był napięty do granic wytrzymałości. Śliskie, ciepłe wargi Liz ugięły się pod naciskiem jego pocałunku. Nie rób tego, Liz, ostrzegął w myślach.

Jej szyja wygięła się w tył. Cholera, tego także nie rób. Wciąż miał wybór, jeszcze mógł się cofnąć. Nie był w stanie. Poddał się namiętności. Tak blisko. Krok bliżej, a jej małe piersi, mokre, nagie wtulą się w jego pierś.

Kryli się teraz wśród mroku, więc nie mogła podejrzewać, jak wielkie grozi jej niebezpieczeństwo.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie potrafi pokonać w sobie mężczyzny. Opętało go pragnienie, by ją objąć, zaś słodki pocałunek niczego nie ułatwiał. Pogłaskała go po włosach. Języki zetknęły się.

Liz czuła, jak jego dłonie zaciskają się na jej ramionach. Gdy złączyły się ich usta, zorientowała się, że stracił panowanie nad sobą. Jego wargi szukały jej policzków, nosa, oczu, okrywając je gorącymi, pełnymi pieśczoły pocałunkami. Całował ją jak coś niebywale cennego, przysparzając samemu sobie dodatkowych męczarni. Czy był świadom, co chce jej pocałunkami wyznać?

Przez jej żyły przepłynęła fala gorąca, pożądanie wypełniło całe ciało. Bezwiednie postąpiła do przodu, stapiając się z Clayem w jedno. Przykro mi, Clay, ale tym razem nie zamierzam ci wierzyć, zamierzam uwierzyć sobie. Chcesz się nadal bawić? Ale nie powinieś całować mnie w taki sposób, jeżeli nie zamierzasz grać serio i konsekwentnie. Chodź tu, kochany, zademonstruj swoje opanowanie, udowodnij, że mnie nie chcesz, że mnie nie potrzebujesz, że nigdy mnie nie traktowałeś serio.

Woda sięgała im do pasa, zachlupotała, gdy zbliżyli się do siebie. Przy pierwszym zetknięciu z gardła Claya wyrwał się niski, krótki, gniewny dźwięk, na wpół jęk, na wpół pomruk. Uścisk jego rąk zelżał. Nie zwróciła na to uwagi. Ogarnęła ją długo tłumiona namiętność. Jego serce odmierzało rytm przy jej piersiach. Objęła go. Wargami musnęła jego szyję. Smakowała Claya.

Palce spieszyły się, aby pobudzić, dotknąć, zbadać.

Ofiarować. Potrzebujesz kogoś, kto chciałby ci dawać, Clay. Delikatnymi ustami przemknęła po gładkiej, mokrej skórze. Potrzebujesz czułości. Tuliła się do niego piersiami. Ciepło. Nie dbam, czy tego chcesz. Ja chcę. Chcę, żebyś wiedział, że ktoś jest tutaj, w ciemności.

Oddychał chrapliwie. Zrozumiała przestrożę, lecz ciało mówiło co innego. Cóż, aby rozwiąła się obawa, najpierw muszą zniknąć hamulce. Bolesnie szorstkie dłonie ujęły jej twarz. Usta przesuwają się, nie były delikatne. Poczuła, jak jego napięta męskość mocno, twardo wciska się w jej brzuch, a jego pierś ociera się o jej małe, naprężone sutki.

Zatracała się. Ogarnęła ją pokusa, aby poddać się bez reszty, oswobodzić z zahamowań pożądanie i mężczyznę, który wydawał się samotny, nienasycony, zdesperowany, niemal groźny.

Strach gdzieś się ulotnił. Clay przytulił ją i trzymał, nie wypuszczając z objęć. Potężny dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Zapragnęła następnego pocałunku i wtedy on powoli się odsunął. Nie widziała wyraźnie jego twarzy, dostrzegła jedynie blask aksamitnych oczu.

- Prawdopodobnie - powiedział niskim głosem
- jesteś najpiękniejszą, najbardziej niebezpieczną kobietą, jaką kiedykolwiek znałem, słoneczko.

- Tak?

- Pragnę cię.

- Tak.

- Zawsze cię pragnąłem.

- Tak.

- Kochanie, jeśli boisz się igrać z dynamitem, lepiej przestań bez przerwy powtarzać: tak.

Miała ochotę się roześmiać, choć czuła się jak przekłuty balonik, z którego uleciało powietrze. Clay

poprowadził ją przez wodę do brzegu basenu w iście zawrotnym tempie, po czym wywindował do góry i palcami odgarnął wilgotne włosy z jej twarzy.

- Czy możesz tu na mnie poczekać, nie przysparzając żadnych kłopotów, póki nie zapalę świateł? Nic nie mów. Tylko poczeka. Podam ci ręcznik.

Owinęła się ręcznikiem, zanim włączył światła. Liz czuła, że jest zziębnięta i wyczerpana, choć pragnęła zatrzymać czas i zapamiętać wspólnie przeżyte chwile. Silny, uparty mężczyzna potwierdził wreszcie swoim zachowaniem, że jej pożąda, że pragnął jej zawsze. Będzie o tym pamiętać. Teraz, po zapaleniu świateł, Clay wydawał się kimś innym, intymny nastrój prysł niczym bańka mydlana.

Z włosów kapąca mu woda, a kąpielówki znowu obcisnęły szczupłe biodra. Nie rozumiała, dlaczego krąży po przeciwległym krańcu pływalni, sprawdzając drzwi. Dystans między nią a Clayem utrzymywał się. Rzeczywistość raptownie dała o sobie znać. W oczach Claya w miejsce czułości pojawiła się czujność. Poruszał się energicznie. Wabiące, miękkie słowa już nie gościły na jego wargach, zamiast nich dobiegło ją kilka przekleństw.

- Stało się coś? - Owijając się w ręcznik wstała, chwyciły ją nagłe dreszcze.

Clay spróbował otworzyć ostatnie drzwi.

- Jesteśmy zamknięci.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie mogli nas zamknąć!

- Ale zamknęli. Dwie pary drzwi do pryszniców, główne drzwi na basen... - Clay odgarnął mokre włosy. - Ktoś musiał spostrzec zgaszzone światła i wywnioskował, że poszliśmy do domu. - Zniknął za jedynymi otwartymi drzwiami.

Liz ruszyła za nim, ściskając kurczowo ręcznik, owinięty wokół mokrego ciała. Drzwi prowadziły do schowka, w którym zgromadzono cedzaki, odkurzacze, a także filtry z chlorem.

- Nie chce mi się wierzyć. - Clay zawrócił, minął ją, przyglądając się jedynej oszklonej ścianie. Okna znajdowały się na wysokości jakichś trzech metrów i także zdawały się być zamknięte.

Liz obrzuciła spojrzaniem schowek. Ani ławki, ani podłoga wyłożona kafelkami nie nadawały się zbytnio na łóżko, a poza tym poza mokrym kostiumem kąpielowym miała do dyspozycji tylko ręcznik. Ich ubrania zostały zamknięte w przebieralni. Tak jak i torebka Liz, i kluczyki od auta... jednym słowem wszystko.

- Czy masz chociaż pojęcie, o której rano otwierają basen? - zapytała kwaśno.

- Kochanie, nie martw się. Wkrótce znajdziesz się bezpiecznie w domu, w łóżku.

- Ale jak...

- Tak się złożyło, że parę razy w życiu otworzyłem wytrychem zamek. Wydostaniemy się. Nie nakładaj

tego - rzekł stanowczo, gdy zobaczył, że bierze do ręki swój kostium. - Wystarczająco trzęsiesz się z zimna, więc nie wkładaj tej mokrej szmatki. To nic nie da.

Ich oczy spotkały się. Poprzednio nagość w obecności Claya miała specjalne znaczenie. Teraz jego głos brzmiał tak uprzejmie, że równie dobrze mógłby rozmawiać o pogodzie. Czyżby prosił, aby była dobrą dziewczynką i udawała, że nic się między nimi nie wydarzyło?

- A którędy wyjdziemy? - dopytywała się.

- Przez okna.

- Zapewne przegapiłam w schowku parę sztudek? Prze-
stań, Clay. Nie ma szans, aby dosięgnąć do tych okien.

Błysnął zębami w leniwym uśmiechu. - Przez całe życie wszyscy powtarzali mi: „nie ma szans”. Najbardziej lubię udawadniać ludziom w tym mieście, że się mylą.

Nie, pomyślała. Najbardziej lubisz reagować twardo i zdecydowanie, szczególnie wtedy gdy ludzie zbytnio się do ciebie zbliżają.

Tak jak dawniej odrobina trudności pobudziła Claya do działania. Inny na jego miejscu popadłby pewnie w przygnębienie. Clay przeciwnie, mobilizował się.

Liz wmawiała sobie, że właściwie nie czuje się dotknięta. Zmarznięta, mokra, zmęczona kobieta ma chyba prawo do irytacji. Poza tym, jego plan był zupełnie bezsensowny.

Tymczasem Clay odnalazł długi kij zakończony hakiem do otwierania okien. Oczekiwał, że Liz wdrapie mu się na ramiona, podniesie i wyslizgnie przez wąski otwór. Jednakże wcale nie zapytał jej o zgodę na podobne przedsięwzięcie, a Liz z miejsca stanęła okoniem.

- Słuchaj, nie mogę.

- Możesz.

- Jestem za ciężka, żeby stawać ci na ramionach.

Otwór w oknie jest za mały. I za wysoko...

- Wzdragasz się, bo pewnie myślisz, że chcę cię podglądać. Wszystko obejrzałem sobie już przedtem, słoneczko, w każdym razie nie w głowie mi teraz podglądanie. Chodź już.

Cóż, łatwo mu było mówić. Zgarnął z niej ręcznik. Nagość wywołała u Liz zmieszanie i niepokój. Nie myślała o seksie, lecz gdy kobieta gołymi nogami ma otoczyć szyję mężczyzny, może przecież zdradzać objawy zdenerwowania.

Pół godziny wcześniej Clay był w oczywisty sposób zafascynowany jej ciałem. Teraz Liz odnosiła wrażenie, że mu przeszkadza.

- Nawet jeśli na tobie stanę i uda mi się wyleźć przez okno, będę się bała, że spadnę na drugą stronę.

- Nie upadniesz.

- Zagwarantujesz mi na piśmie?

- Owszem. Jedyne, co masz zrobić, Liz, to zaczekać na górze, aż przejdę przez sąsiednie okno. Gdy znajdę się na zewnątrz, na ziemi, złapię cię. A teraz chodź.

- Poklepał ją niecierpliwie po pupie.

Miała ochotę go zamordować. Wprawdzie wszystkie marzenia, jakie snuła kiedykolwiek w związku z osobą Claya Stewarta, wiązały się z nagością, ale nie z taką sytuacją. Nigdy nie podejrzewała, że stojąc bosymi stopami na jego ramionach, będzie się pięć po ścianie, zaś przed nim roztoczy się niezwykajny widok, kiedy zacznie się niezgrabnie podciągać, by wreszcie złapać rękami za okienną ramę. Jakiś twardy przedmiot podrapał w trakcie wspinaczki jej brzuch. Liz nie uświadamiała sobie idiotyzmu całej tej sytuacji, dopóki nie przycupnęła niepewnie na parapecie, naga, z mokrymi, rozczochranymi włosami i szczebkającymi zębami. Nie, to po prostu absurdalne. Do diabła, to nie mogłoby się zdarzyć nawet w najgorszym śnie.

Z tygrysią zręcznością Clay skoczył z ławki w górę, na parapet sąsiedniego okna, następnie w dół. Uśmiechał się zupełnie po chłopięcemu.

- Od wieków się tak nie bawiłem. Chodź, maleńka.
- Zamachał rękami, wzywając Liz do pójścia w jego ślady.

YMCA nie szafowała groszem, aby upiększyć okolice pływalni. Jedyne, co Liz mogła zaobserwować, to oszronione koniuszki traw oraz wielki, złoty, jesienny księżyc. W zasięgu wzroku nie dostrzegła żadnego drzewa, żadnego krzewu. Zaczepnęła powietrza i skoczyła.

Zachwiał się pod jej ciężarem, ale ciepły uścisk jego ramion nie osłabł ani na moment. Dojrzała przez moment w jego ciemnych oczach ciepły intymny błysk. Clay złapał ją za rękę i pchnął w kierunku dwóch samotnych aut na parkingu. Potrafiła myśleć tylko o tym, że jest zbyt stara, aby trafić do aresztu za nieprzystojne zachowanie.

- A twoje kluczyki od auta, Clay? - wysapała.
- Nie są zamknięte w przebieralni? Moje były w torebce. Zostały.

Powinna przewidzieć, że Clay jest przygotowany na takie sytuacje. Miał zapasowy klucz, przylepiony taśmą pod maską silnika a także koc - niezbyt czysty - zwinięty w bagażniku. Sekundę potem siedziała w przesiąkniętym zapachem benzyny kocu, z kolanami pod brodą, podczas gdy Clay włączał silnik i ogrzewanie.

Spojrzał na nią. Była w pełni świadoma własnego wyglądu; włosy potargane jak u wiedźmy, wargi sine z zimna. Szczękała zębami i nie mogła się opanować.

Niespodziewanie Clay zaczął się głośno śmiać. Liz także w buchnęła śmiechem.

- Tylko z tobą, słoneczko - wymruczał. - Tylko z tobą.

Dzięki tym kilku słowom Liz powrócił dobry nastrój i w duchu wybaczyła mu poprzednie zachowanie. Przestał się wreszcie śmiać, na twarzy pozostał tylko leniwy uśmiech. Wyraz oczu świadczył, iż nad czymś się zastanawia.

Raz tylko zerknął ku Liz, potem skupił uwagę na drodze. Gdy wyjechali z parkingu, ciemność przecinały tylko reflektory samochodu.

- Mała awanturka zarumieniła ci trochę policzki. Myślę, że dziś wieczorem miałaś na to ochotę, prawda? Chciałaś poigrać nieco z niebezpieczeństwem, pobawić się dynamitem.

- Clay...

- Ty i ja znamy się bardzo długo i nie widzę nic złego w tym, co się wydarzyło dziś wieczorem. Nikt się o niczym nie dowie, zapewniam cię. Przyjaciele...

Przestała słuchać. Słyszała to już wcześniej. Delikatnie, spokojnie, ostrożnie starał się znowu wyjaśnić, że żywi do niej braterskie uczucia, że pragnie się nią opiekować jak młodszą siostrą. Zwróciła ku niemu głowę, obserwując mocny zarys szczęki.

Nie, Clay. Tym razem ci się nie uda. Byłam tam, w tej wodzie i w tej ciemności. Pamiętam doskonale jak mocno mnie pragnąłeś, aż cały drżałeś.

Zamknęła oczy, głowę oparła na siedzeniu. Przypomniała sobie porównanie ze skokiem ze skały. Żadna zdrowa na utnyśle kobieta nie podejmie decyzji, aby rzucać się ze skały. Myślała o błędach, jakie popełniła, kierując się rozsądkiem, zamiast zaufać instynktowi.

Kiedy Clay podjechał pod jej dom, uśmiechnęła się.

- Na szczęście światła są pogaszone. Nie jestem pewna, czy byłabym w stanie wyjaśnić Andy'emu, co się właściwie stało. Zwrócę ci koc, Clay.

- Postaram się rano wydostać z Ymki twoje ubranie i toreb...

- Kocham cię. - Powiedziała to krótko i prosto, z serca. Następnie musnęła wargami jego policzek i wysiadła z auta. Północ nie jest odpowiednią porą, aby z gołymi stopami, w kusym kocu, sterczeć na dworze. Andy, dzięki Bogu, nie zamknął tylnych drzwi. Drżąc z zimna i emocji, weszła do środka i oparła się o drzwi, zaciskając mocno oczy.

Widziała wyraz jego twarzy.

Dwa słowa, a mężczyzna wyglądał tak, jakby raptem dostał obuchem w łeb.

Osiem dni później Liz wyszła z biura Izby Handlowej i czuła się, jakby ją spoliczkowano. Listopadowy wiatr szarpał jej płaszcz, kąsał policzki i uszy. Usiłując powstrzymać zdenerwowanie ruszyła w dół Main Street, po drodze minęła sklep z artykułami żelaznymi, sklep odzieżowy Keetera, bank i Owi Book Store, Nealy'ego...

Cofnęła się o dwa kroki, weszła do środka. Usiadła na czerwonym winylowym stołku przy kontuarze, położyła u stóp torebkę i czekała. Pan Nealy miał klientów.

Nic się nie zmieniło od czasów, kiedy pracowała tu po ukończeniu szkoły; ani czerwono-biała dekoracja w postaci strugi wody sodowej, ani cukierki z oszklonej gabloty sprzedawane za pensa, ani też komiksy wyłożone na stojaku od frontu. Przez wypucowane okna można było obserwować rzekę, na której powierzchni zbijały się dzisiaj fale zwieńczone małymi grzywaczami.

Ten widok pasował do jej nastroju. Właśnie straciła szansę zdobycia pracy. Powrót w rodzinne strony nie okazał się wcale łatwy. Wróciła tutaj, aby uporządkować swoje życie. Nie wszystko jednak zależało od niej. Po wie-

lu staraniach znalazła pracę, której przecież tak bardzo potrzebowała i po rozmowie kwalifikacyjnej jej oferta została odrzucona. Sytuacja nie przedstawiała się lepiej w sprawach osobistych. Otwarcie wyznała, że kocha Claya, jednak on nadal uważał, że nie powinni być razem.

- Co z tobą, Elizabeth? Jeszcze żyjesz?

Mężczyzna z rzadkimi, siwymi włosami i obwisłym podbródkiem podszedł do niej spokojnym krokiem.

- Nie próbuj mi tylko podpowiadać, na co masz ochotę, Elizabeth Brady. Napój z wody sodowej z dwiema kulkami lodów waniliowych. Na co jeszcze czekasz?

- Słucham?

- Wstawaj i maszeruj za ladę. Miejsce za kontuarem znasz równie dobrze jak ja. Czy myślisz, że będę zajmował się tobą, kiedy muszę obsługiwać ważnych gości?

Liz, chichocząc, zgarnęła torebkę i ruszyła za ladę. Wskazała jej nieskazitelnie białą serwetkę wiszącą na haczyku.

- No, nie zużyj mi tylko całej wody sodowej.

- Tak, proszę pana.

- A co ma znaczyć ten uśmiech?

- Przypominam sobie, jak bardzo się pana zawsze bałam, panie Nealy.

- Widocznie nie aż tak bardzo - odrzekł pan Nealy z sympatią i minął ją, by podać trzy wafłowe rożki z potrójnymi porcjami lodów siedzącej w kącie grupce miejscowych urwisów.

Liz nie zapomniała, gdzie stoją wysokie dzbanki czy w jaki sposób przechyla się rękę potrząsając mikserem, aby uzyskać właściwy efekt. Zapach ulatniających się bąbelków gazu i woń wanilii nie wiadomo dlaczego rozwiały jej smutki.

Nie zważając na pełne dezaprobaty spojrzenie pana Nealy'ego, usadowiła się za kontuarem z łyżką w ręce

- napój okazał się zbyt gęsty, by sączyć go przez słomkę. W tym czasie pan Nealy przygotował lody z owocami i śmietanką dla dwóch nastolatków oraz wytarł ladę.

- Co słysząc u twoich rodziców?

Język Liz tak zmarzł od lodów, że z trudem odpowiedziała:

- Oboje mają się dobrze. Każde z nich ma nową rodzinę.

- Tak, słyszałem. Wciąż pamiętam, jak mocno przeżyłaś ich rozstanie. Byłaś dzieckiem. Czy Andy ma poważne zamiary wobec tej rudej nauczycielki od plastyki, czy też będzie spotykał się z nią przez kolejnych pięć lat?

- Nie sądzę, żeby ona chciała się ustatkować.

- Na pewno by to zrobiła, gdyby on zdobył się na odwagę i poprosił. Całe miasto lepiej się orientuje w uczuciach tych dwojga niż oni sami. Ci młodzi!

- Pan Nealy, zupełnie zdegustowany, potrząsnął głową.

- Nie podejrzewałem, że powrót do domu zabierze ci tyle czasu, Elizabeth Brady.

- Nie? - Spojrzenie Liz powędrowało w stronę okna. Ponownie spojrzała na szarą rzekę i szybko przepływające ciężkie chmury. Gdy nadchodził listopad, rzeka w Ravensport nie miała w sobie niczego pociągającego. Gwałtowna fala nostalgii i solidarności z rodzinnymi stronami niemal zaparła jej dech w piersiach.

Podczas gdy w Milwaukee zaprzętały ją własne kłopoty, miasto popadło w trudności gospodarcze. Wyniosło się stąd wiele firm, niezadowolonych z funkcjonowania Izby Handlowej. Żądano powołania stanowiska rzecznika spraw miejskich. Tego właśnie dotyczyła poranna rozmowa Liz. Ravensport nie było zbyt ważnym portem, ale latem ściągały tu łodzie z jeziora Michigan. Ich

właściciele prowadzili sezonowy handel. Szosę z Sheboygan do Milwaukee, przy której mieścił się motel Claya, można było znacznie lepiej wykorzystać. Należało się tym zająć w sposób, który mogliby zaakceptować mieszkańcy miasta. Chodziło o to, aby zachować klimat i charakter małego miasteczka.

Liz dowiedziała się tego ranka w Izbie Handlowej, że nie posiada ani formalnych kwalifikacji, ani niezbędnego doświadczenia. Ona natomiast była przekonana, że podoła obowiązkom. Ktoś postronny mógłby uznać takie zajęcie za niezbyt zajmujące, ale cóż, każdy ma własne zdanie. Liz chciała zmienić posadę bibliotekarki, podjąć wyzwanie i przebywać z ludźmi, zaangażować się bez reszty w pracę, która nie byłaby jej obojętna...

- Słyszałem, że znowu spędzasz czas z Clayem. - Pan Nealy ani na moment nie zaprzestał wycierania lady.

- Tak. - Liz uśmiechnęła się kwaśno. Nie było sensu zaprzeczać. Jeśli ktoś w Ravensport chciał się czegoś dowiedzieć, korzystał z biblioteki, z gazety albo z lokalu pana Nealy. Całkiem możliwe, że wstąpiła tu kierując się ukrytą myślą, że oczekiwała czegoś więcej.

Miasto wciąż huczało od plotek na temat Claya. Mówiło się, że dwa lata temu był wplątany w romans z zamężną kobietą, że przebudowę motelu finansował z podejrzanych pieniędzy, że ojciec jakiegoś chłopaka próbował zdemolować jego restaurację, bo podobno Clay namawiał dzieciaka do zażywania narkotyków.

Pan Nealy obrzucił Liz przeciągłym spojrzeniem, oczekując odpowiedzi. Liz znała go dostatecznie długo.

- Nie twierdzę, że znam prawdę. Plotki mnie nie interesują. Słyszałam zresztą, że urządził w swoim motelu pokój dla tych, którzy wpadli w tarapaty. Narkotyki, ucieczki z domu, inne historie w tym

stylu... mają teraz swój azyl. Być może - nie twierdę, że tak było, ale mogło być - być może Lancer z banku poczuł się dotknięty, bo Clay doskonale zarobił, chociaż Lancer w swoim czasie nie chciał mu dać pożyczki. A jeśli chodzi o tę bzdurę z zamężną kobietą, to puściła ją w obieg Hester McK.ee. Prędkiej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż uwierzę w cokolwiek, co rozpowiada Hester. Takie jest moje zdanie...

- Też tak to widzę - odezwał się pan Nealy.
- Odkąd Clay Stewart skończył cztery lata, nigdy się przed nikim nie tłumaczył i nadal tego nie robi. Był odszczepieńcem, przez długi czas na wszystko sobie gwizdał. Sama myśl, że musiałby się bronić, mroziła go, a nigdy nie znalazł się ktoś, kto by powiedział temu człowiekowi, co i jak ma robić.

- Wiem - mruknęła Liz.

- Ma jedną słabość, syna. Gdyby małego ktoś skrzywdził, nie chciałbym być w pobliżu i zbierać resztek z tego kogoś.

Wyraz jej oczu złagodniał.

- O tym także wiem.

- Sam widziałem, jak raz czy drugi pił piwo. Jedno, nigdy dwa. Jego matka umarła parę lat temu, wiesz?

- Słyszałam.

- Kiedy bogaci mają problemy z piciem, nazywa się ich alkoholikami. Biedni to po prostu pijacy. Matki Claya nie nazywano inaczej niż pijaczką. Uczyniła wszystko, aby chłopak uwierzył, że nikomu nie był potrzebny. - Pan Nealy zaczerpnął tchu.

- Czy zamierzasz tym razem złapać tego chłopaka, Elizabeth, czy w połowie zrezygnujesz, tak jak poprzednio?

Ze zdziwienia otworzyła usta.

- Co pan wygaduje! Nigdy nie uciekałam od Claya, panie Nealy.

- Nie?

- Oczywiście, że nie. Porzuciłam dom, ponieważ po separacji rodziców nie przypominał domu rodzinnego. Andy był samodzielny, a ja musiałam skończyć college i jakoś się w życiu urządzić.

- To jest twoja wersja? Przysięgnęłbym, że opuściłaś dom, bo Clay cię namówił. - Spojrzył na Liz przenikliwie. - Wydawało mi się, że nie miałaś zamiaru wyjeżdżać. A jeśli naprawdę tak było, nie umiem pojąć, dlaczego to zrobiłaś. Dla niego słońce wschodziło i zachodziło razem z tobą. Musiałaś to wiedzieć.

Zdaniem Liz, pan Nealy posunął się za daleko. Gdyby Liz nie zależało na panu Nealy, pewnie by mu to wytknęła.

- To nieporozumienie. Zapomniał pan, że dziesięć lat temu byłam młodziutką dziewczyną? Dziewczyną, która chodziła za nim jak cień - odezwała się miękko, szczerze. - Nie zależało mu na mnie, panie Nealy, nie w taki sposób, jak pan sugeruje.

- Nie?

Liz włożyła do zlewu wysoką szklankę i zaczęła ją płukać. - Oczywiście, że nie - potwierdziła.

- Bez względu na twoją opinię powinnaś zbliżyć się do jego syna. Masz absolutną rację, Elizabeth.

- W czym mam rację? - zapytała zniecierpliwiona. Lubiła pana Nealy i atmosferę tego miejsca. Wiedziała doskonale, że wstąpiła tutaj, aby dowiedzieć się czegoś nowego o Clayu. Nagle poczuła, że ma już tego dosyć.

- Miałaś rację, nawiązanie kontaktu z dzieckiem zajmuje wiele czasu - rzekł przymilnie. - Wiesz, kiedy wyjechałaś, on bardzo szybko zaczął się zadawać

z innymi kobietami. Miał ich sporo, jedną gorszą od drugiej, o żadną ani trochę nie dbał. - Zmarszczył brwi. - Weź torebkę, zapłać za napój i zastanów się nad sobą.

Liz złożyła na policzku pana Nealy głośnego całusa i wyszła. Wysłuchiwała jego uwag zbyt długo. W ciągu godziny niebo złowieszczo pociemniało. Z trudem znalazła drogę do swego auta, zaparkowanego o trzy domy dalej.

Pan Nealy miał szlachetne intencje, tylko źle się do tego zabrał. Nie wyjechała z Ravensport z powodu Claya. A jeśli idzie o to, że dla Claya słońce wschodziło i zachodziło wraz z nią, cóż, pan Nealy powinien by przyjrzeć się ostatnim jego poczynaniom.

Sądziła, że kiedy wyzna Clayowi miłość, wywoła reakcję z jego strony. Tak też się stało. Przez cały ubiegły tydzień pokazywał się dwa razy dziennie, a nie raz, tak jak poprzednio. Zwykle przychodził z synem. Koszykówka, futbol, wyprawy na rowerach, piesze wycieczki. Liz przestała się obawiać, że Spence czegoś się domyśli. Trzyosobowy mecz piłkarski mógł zapobiec powzięciu przez dziecko podejrzeń, że ojciec wdał się w sercową aferę.

Musiała oddać sprawiedliwość Clayowi. Traktował ją z zadziwiającą cierpliwością i uprzejmością. Nie dyskutuje się z szaleńcem. Natomiast serwuje się mu okazję do fizycznego wyżycia.

Liz była zmęczona, ale nie wpłynęło to na stan jej uczuć. Pan Nealy nie miał racji za grosz.

A ty jesteś niepoprawną kłamczucha, pomyślała ze znużeniem. Instynkt podpowiadał jej nadal, że Clay potrzebuje oparcia. Dotąd w trudnych chwilach nie

miał przy sobie przyjaznej duszy i od żadnej kobiety nie przyjął miłości, ciepła, uczucia.

Rozważania na temat innych kobiet w jego życiu doprowadzały ją do pasji. Coś dziwnego działo się z mieszkankami Ravensport. Żadna nie potrafiła zrozumieć, że Clay potrzebował wsparcia silnej, zdolnej do poświęceń kobiety. Takiej, która nie cofa się przed uczciwym stawianiem sprawy i przed prawdziwym uczuciem, i nie kieruje się fałszywym wstydem ani źle pojętą dumą.

Gdzie się podziała twoja wiara w siebie, Elizabeth Brady, myślała, mijając chwiejnym krokiem fronton domu z szyldem, na którym wypisano: Kaiser. Powodowana impulsem pchnęła drzwi. Czy masz zamiar zaufać temu mężczyźnie, Liz? Czy też wolisz zawierzyć miłości i instynktowi?

Postanowiła wyrwać się z przygnębienia. Muszę sobie poprawić nastrój, zdecydowała, w sposób stosowany przez kobiety od początku świata. Potrzebowała zmiany. Bodźca. Ryzyka. Czy nie po to wróciła do domu?

Odsuwając na bok wszelkie wątpliwości, Liz zebrała całą odwagę i pchnęła drzwi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Podoba się? - zapytała Janet Kaiser. - Myślę, że to twój styl. Fryzura podkreśla rysy, a nie sprawia kłopotów w utrzymaniu. - Fryzjerka odwiązała z szyi Liz ceratową narzutkę. Pukle bladożółtych włosów okalały owal twarzy.

Nie patrząc w lustro, Liz zeszła z fotela. Nowa, francuska moda lansowała krótkie włosy. Postrzępiona grzywka spadała na czoło. Wystarczyło raz potrząsnąć głową, aby wprowadzić w ruch całe uczesanie. Liz zyskała na uroku i elegancji. Wyglądała jak kobieta pewna siebie lub taka, która miała nadzieję, że uda się jej sprawiać podobne wrażenie.

- Podoba ci się, prawda? - dopytywała się pełna niepokoju Janet.

- Hmm... - wymruczała Liz entuzjastycznie. Wielkie nieba, wyglądała, jakby przed chwilą wyskoczyła z łóżka mężczyzny. Jak teraz pokaże się ludziom? Czy istnieje jakiś klej do włosów?

Zapłaciła, dorzucając hojny napiwek, po czym dosłownie zmusiła się do wyjścia. Choć była dopiero piąta po południu, na dworze panowały już jesienne ciemności. Gdy uniosła twarz, uczuła na policzkach pierwsze płatki śniegu.

Zanim dojechała do domu, pojedyncze płatki zmieniły się niemal w śnieżycę. Podnosząc kołnierz płaszcza, przebiegła do drzwi.

Na szczęście, hol był oświetlony i ciepły. Liz wsunęła głowę do kuchni. Andy stał w kurtce i nalewał mleko do szklanki.

- Wychodzisz? - zapytała.

- Co za szczęście, że już jesteś! Właśnie wróciłem, pięć minut temu i... - Andy spojrzał na głowę Liz.

- Dobry Boże, coś ty zrobiła z włosami?

Miej tu, człowieku, brata, z pewnością zniweczy twoje dobre samopoczucie. Wskazała na szklanekę.

- Cóż to za nowe dziwactwo? Nie widziałam, żebyś pił mleko, odkąd skończyłeś dziesięć lat.

- To nie dla mnie. Kiedy przyjechałem, pod drzwiami czekała na ciebie przesyłka.

- Przesyłka?

- Mamy problem - stwierdził Andy, krzywiąc się przesadnie.

Dostrzegła go, gdy tylko znalazła się w pokoju. Problem mierzył około stu dwudziestu centymetrów, miał sterczący szaleńczo kosmyk, skulone ramiona oraz buzię upstrzoną piegami.

Spence patrzył na nią brązowymi, nieszczęśliwymi oczami.

- Spence! Co tu robisz? Jak...

- Nie mogę wrócić do domu.

- Mleko. - Liz sięgnęła do tyłu po szklanekę niczym chirurg po skalpel. - Wypij, natychmiast. Co się stało?

- Wszystko. - Głos Spence'a brzmiał ponuro. Wypił mleko duszkiem. - Postanowiłem zamieszkać u ciebie. To jedyna możliwość.

- Kłopoty w szkole? - dopytywała się delikatnie Liz. Rzuciła płaszcz na tapczan i usiadła.

- Dostałem od dyrektora list, który powinienem oddać tacie. Ale nie mogę. Absolutnie nie.

- Jest bardzo źle, he?

Ukazały się łyzy i popłynęła od razu cała historia.

Związał z lekcji matematyki, ukrył się w ubikacji dla chłopców, z nogami w górze, żeby nikt, kto zajrzy pod drzwi, nie mógł go wypatrzeć. Liz doszła do wniosku, że jak na małego trzecioklasistę, to nazbyt pomysłowo.

Miał zamiar uciekać również z innych lekcji matematyki. Powiedział dyrektorowi, że lekcje tego przedmiotu zamierza opuszczać do końca życia, co, jak się zdaje, mocno zirytowało dyrektora.

Liz otarła Spence'owi łyzy i słuchała dalej. Mówił podobnie jak ojciec. O ile mogła zrozumieć, Jbo opowieść była trochę niekompletna, cały problem brał się stąd, że Spence wyprzedzał inne dzieci w matematyce.

- No i mój tata z dyrektorem spotkali się i przeprowadzili poważną rozmowę o próbie sił - opowiadał.

- Czy rozumiesz to słowo?

Dla Spence'a słowo to znaczyło, że został przesunięty na lekcje matematyki do klasy szóstej. Algebra była ciekawa, ale Spence nie chciał uczyć się z szóstkami. Stale zapominał nazwiska ich nauczyciela i wstydził się prosić o zgodę na wyjście do ubikacji. We własnej, trzeciej klasie czuł się swobodnie i wszystkim pomagał.

- Starsi chłopcy przewalali mnie „mądrała” i siedziałem w takiej ławce, że nie sięgałem nogami do podłogi. Nie mam zamiaru do nich wracać!

- Kochanie, dlaczego po prostu nie poinformowałeś taty, że jesteś tam taki nieszczęśliwy? - Uniosła głowę, dostrzegła, że Andy ciągle stał w drzwiach, z rękami założonymi na piersiach. Przyglądał się scenie ze współczuciem. Szepnęła ponad chłopięcym ramieniem:

- Czy możesz raz jeszcze zadzwonić do Claya i przekazać mu, że przez chwilę tutaj zostaniemy?

- Ale ja nie mogę powiedzieć tacie. Nigdy nie będę mógł powiedzieć. To on wymyślił ten cały interes z próbą sił...

Na twarzy Andy'ego malowało się poczucie winy, a zarazem zdziwienie. Liz nie przyszło do głowy, że Andy nie powiadomił Claya natychmiast, kiedy tylko znalazł Spence'a na progu domu.

- Zadzwonię do niego - zapewnił Andy. - Tak się złożyło, że wróciłem tuż przed tobą, a gdy zobaczyłem Spence'a siedzącego na progu, to chciałem go przede wszystkim ogrzać i wysuszyć. Weszłaś i...

- Rozumiem - odparła Liz, choć pomyślała z niepokojem, że jest już dwadzieścia po piątej i Clay od dwóch godzin czeka daremnie na powrót syna ze szkoły.

Spence wmieszał się w rozmowę:

- Nie możecie dzwonić do mojego taty!

- Kochanie, muszę. Spróbuj sobie wyobrazić, jak bardzo się martwi, nie wiedząc, gdzie jesteś.

- Będzie wściekły - stwierdził ponuro Spence. - Czy nie mogę tu po prostu zostać? I spać na tapczanie?

Liz lewą ręką obejmowała go za ramiona, podczas gdy prawą wykręcała numer. Telefon odebrała Susie, recepcjonistka. Za chwilę usłyszała głos Claya.

- On się czuje zupełnie dobrze, Clay, przywiozę go - powiedziała krótko.

Kiedy odłożyła słuchawkę, nie umiała sobie przypomnieć ani słowa z tego, co mówił. Wstrząsnęła nią jego udręka.

- Słuchaj, mały. - Liz nachyliła się, całując go w czoło, następnie wzięła okrycia. - Miałeś zupełną

rację, jest zmartwiony. Nie chce cię okłamywać. Każdy tata wpadłby w przygnębienie, gdyby nie wiedział, gdzie jest jego dziecko. Doskonale wiesz, że tatuś bardzo cię kocha, po co więc robić z igły widły?

- Jedziesz ze mną?

- Zapnij kurtkę, zasuń zamek, jest mróz. Oczywiście, że jadę z tobą.

- Kiedy spóźniłem się ze szkoły ostatnim razem, tata wezwał policję zwykłą i konną.

Liz była w stanie w to uwierzyć. Dopiero, gdy usiadła za kierownicą, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zdenerwowana. Wycieraczki zgrzytały, nadal sypał mokry, gęsty śnieg. Spokojnym głosem wygłaszała monolog, który miał przywrócić Spence'owi wiarę we własne siły.

Ale Spence nie potrzebował moralnego wsparcia. Clay miał temperament i, rzecz jasna, potrafił skarcić kłapsem, lecz jego gniew wygasał szybko. Spence był w towarzystwie ojca całkowicie bezpieczny.

Nie jechała z powodu Spence'a, lecz z powodu Claya. Chciała go wesprzeć w trudnej sytuacji.

Ledwie Liz i Spence wkroczyli do holu, od strony baru nadbiegł George. Susie porzuciła recepcyjne biurko, szef kuchni najwyraźniej zamierzał pójść w jej ślady, zaś Cameron przemierzał hol obok Claya. Wszyscy momentalnie okrążyli Spence'a, jakby go chcieli obronić przed potworem. Urwis budził powszechną uwagę opowieścią o popołudniowych przygodach.

Clay chciał wziąć syna na ręce, jednak przez parę chwil pozostawał w tyle, aby opanować zdenerwowanie. Miał ciągle przyspieszony puls, serce bez ustanku tłukło się w piersi. Tak, od momentu, gdy

Liz zadzwoniła, wiedział, że Spence jest bezpieczny, ale wcześniej przychodziły mu do głowy najgorsze przypuszczenia.

Chociaż Clay nigdy by nie przyznał, że się czegoś obawia, czuł, jak ogarnia go paniczny strach. Dopóki nie odebrał telefonu od Liz, zadreślał się rozpatrywaniem własnych błędów. Inni ludzie, prowadzący ustabilizowane życie, potrafili należycie wychowywać dzieci. Gryzło go to, że on się nie nadawał na opiekuna, że nie mógł ofiarować Spence'owi tego, co daje normalna rodzina.

Tłumek rozstał się, przepuszczając drobną blondynkę, po czym natychmiast otoczył ponownie jego syna. Liz przez moment zawahała się, ale ruszyła w stronę Claya.

Wspięła się na palce, żeby go pocałować.

- Czuje się dobrze, Clay. Uwierz mi.

- Widzę, że czuje się dobrze. - Miał wrażenie, że pod wpływem jej dotyku ustępuje, trzymające go do tej pory żelaznym uściskiem, napięcie. Elizabeth Brady była niebezpieczna dla mężczyzn z rodu Stewartów. Spence'owi starczyło jedno spojrzenie i z miejsca ją zaakceptował. Clay w jej obecności tracił rozsądek.

Pod miękkim płaszczem miała czerwoną sukienkę, choć nigdy przedtem nie nosiła czerwieni. A włosy? Co z nimi zrobiła, do diabła! Nad czołem Liz sterczały niesforne kosmyki. Szyja była całkiem obnażona.

Poczuł się zupełnie bezradny, gdy stanął naprzeciw tej nowej, nieznanej, wyzywającej Liz. Zdawał sobie sprawę, że wyznała mu miłość najzupełniej poważnie.

W jego życiu liczyło się wyłącznie dwoje ludzi. Ale nie zachowywał się wobec nich właściwie. Jeśli chodzi

o Liz, chciał jedynie pomóc jej odnaleźć się po rozwodzie i uchronić ją przed niewłaściwym wyborem. Opieka, którą pragnął ją otoczyć, przerodziła się niespodziewanie w zaborczość, w poczucie winy.

Nie zamierzał teraz rozmawiać o Spence'ie, lecz pod wpływem doznanego wstrząsu słowa wyrwały się same.

- Przysiągłbym, że Spence wie, że zawsze może do mnie przyjść, bez względu na to, jakie ma problemy. Do diabła, czego on się bał?

- Spodziewał się twojego gniewu, ale nie w tym rzecz.

- Dobrze, więc w czym?

- Spence nie użył podobnych słów, ale sądzę, że bał się twego niezadowolenia.

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem.

- Możesz mu to powiedzieć.

- Zrobię coś więcej.

Z rozzłoszczoną twarzą ruszył zdecydowanie w stronę zbiegowiska, lecz jego gniew szybko się rozwiął. Clay wziął syna na ręce. Barki, plecy, kolana, piegi, mocne kości, sterczące kosmyki włosów... podnosząc Spence'a wysoko w górę musiał się upewnić, że jego syn jest cały i zdrowy.

Liz niemal czuła, jak Clay wchłania zapach, dotyk, smak własnego dziecka.

- Hej, ty - Clay opuścił Spencera trochę niżej - będziesz miał masę kłopotów!

Chłopiec oswobodził się nieco z mocnego uścisku ojca i odsunął, aby przyjrzeć się jego twarzy. W zmartwionych, brązowych oczach pojawił się wyraz zdumienia.

- Nie jesteś wściekły.

- Chyba żartujesz. Jestem na ciebie wściekły jak diabli.

- Daj spokój, tato, przecież widzę, że nie. Postaw mnie szybciej na podłodze. Ludzie pomyślą, że jestem dzieckiem!

- Nic z tego. - Clay posadził syna na ramieniu, objął go jedną ręką, a drugą ujął dłoń Liz, która poczuła się zakłopotana. Nagle Clay dostrzegł, że ludzie zgromadzeni w holu uśmiechają się. Cameron szczyrzył zęby. Zupełnie obca kobieta, siedząca wraz z mężem na walizkach, śmiała się z całego serca. Pracownicy motelu, goście - czy wszyscy myślą, że to darmowe przedstawienie? Dzwoniły naraz trzy telefony, restauracja wypełniała się klientami spieszącymi na obiad.

- Czy nikt nie ma nic do roboty? - warknął Clay.

Zebrani w holu rozpięchli się. Pozostali we trójkę. Ruszyli w stronę prywatnych apartamentów Clay'a. Nastrój jego syna poprawiał się z każdym krokiem. Demonstrował szeroki uśmiech ulgi, a także rosnącą pewnością siebie, nieświadomy, co go czeka.

- Dobra. Gdzie ten list? - zapytał Clay, kiedy tylko znaleźli się w mieszkaniu.

- Jaki list? - Spence spojrział na ojca i wymamrotał.

- Och, ten. Liz ci to wyjaśni.

- Liz zamierza zdjąć buty i usiąść na tapczanie. Miała wyczerpujące popołudnie. Sam musisz wszystko wyjaśnić. Ale najpierw chcę dokładnie wiedzieć, w jaki sposób dostałeś się do domu Liz.

- Przyjechałem szkolnym autobusem. Wsiadłem po prostu na jej rogu, zamiast na końcu trasy.

- Najwidoczniej nigdy nie wpadło Spence'owi do głowy, że ojciec będzie się interesował sprawą transportu.

- I kierowca tak zwyczajnie pozwolił ci wysiąść?

Spence sprawiał wrażenie oszołomionego. - A czemu miało go to obchodzić?

Liz spojrzała na Claya i pomyślała, że kierowca autobusu już od jutra będzie się pilnie interesował, gdzie oraz kiedy wysiadają dzieci.

Podczas gdy Clay czytał, Liz zdjęła pantofle i w samych pończochach podreptała na drugą stronę tapczanu tam, gdzie siedział Clay. Czubkami palców zaczęła masować mu kark.

Sięgnął ręką w tył, jakby odganiał muchę. Liz zrozumiała, że nikt nie powinien dotykać Claya, kiedy jest rozgniewany. Nikt nie powinien się nawet zbliżyć.

Spence wdrapał się na przeciwległy tapczan, moszcząc się na nim, jakby miał nadzieję, że tata go nie dostrzeże.

Clay skończył list i pokiwał palcem na syna.

- Myślę, że powinienem teraz pójść odrabiać lekcje.

Palec wskazujący Claya nadal przyzywał Spence'a, który zaczął szybko wyjaśniać całe zajście. Opowieść kończył siedząc na kolanach ojca, z podkulonymi nogami.

- Wygłupiłeś się - odezwał się łagodnie Clay.

- Do diabła, wiem o tym.

- Nie chodzi o to, co powiedziałeś dyrektorowi, mimo że istotnie będziesz musiał go rano przeprosić. Nie chodzi także o to, że uciekłeś z lekcji. Wygłupiłeś się, Spence, bo kiedy masz kłopoty, powinieneś przyjść z nimi do domu i tu je rozwiązywać. Dlaczego, do diabła..., do licha, nie powiedziałeś, że jest ci źle w tej starszej klasie?

- Ponieważ...

- Ponieważ co?

- Ponieważ ty bardzo chciałeś, abym w niej był
- żałośnie dokończył Spence.

- Chyba zwariowałeś. Załatwiłem to tylko dlatego, że sądziłem, iż postępuję właściwie. Twój nauczyciel powiedział, że się nudzisz, że umiesz o wiele więcej od innych dzieci i że powinieneś spróbować sił na wyższym poziomie. Skoro ci się nie spodobało, jedyne, co powinieneś być zrobić, to powiedzieć tacie.

- Ale cieszysz się, że jestem zdolny? - dopytywał się Spence.

- Zupełnie błędnie rozumujesz, stary. Cieszę się, kiedy jesteś szczęśliwy.

- Byłbym szczęśliwy jak diabli, gdybym nie musiał każdego dnia chodzić do szóstej klasy.

- Następnym razem zobaczysz szóstą klasę dopiero wtedy, gdy do niej dorośniesz. Zatem, jeżeli już z tym skończyliśmy, pozostały jeszcze dwie sprawy do obgadania. - Spence wiercił się niespokojnie na kolanach ojca. - Po pierwsze, sądziłem, że zgodnie z ustaleniami przestaliśmy przeklinać.

- Wiesz, ja próbuję!

- Ja też próbuję i, na Boga, na diabła rogatego, znacznie trudniej jest się odzwyczaić, kiedy człowiek kłął przez dwadzieścia lat. Po drugie... - głos Claya zniżył się do szeptu - do cholery, Spence, czy ty naprawdę bałeś się do mnie przyjść?

Przygnębiony Spence wykrztusił:

- To nie do końca tak, ja się nie bałem, że na mnie nakrzyczysz. Bałem się, że będziesz się czuł zawiedziony z mojego powodu.

- To nie wchodzi w grę - poinformował go Clay.

- W porządku. Muszę teraz nakarmić moje ryby, tato.

Clay uściśnął go i zszedł z kolan. Gdy tylko Spence zniknął z pola widzenia, odetchnął głęboko, dopiero wówczas uświadamiając sobie, że Liz nakłada płaszcz.

- Dokąd się wybierasz?

- Do domu. - Zarzuciła na ramię pasek od torebki.

- Świetnie dajesz sobie radę z synem.

- Niestety nie. Gdybym dobrze nim kierował, to by wiedział, że może do mnie zawsze przyjść.

- Nonsens. Czy kiedykolwiek spotkałeś dziecko, które z własnej woli naraża się na awanturę?

- Czasami obawiam się, że jest nieco rozpieszczony.

- Oczywiście jest. Skoro ktoś miał trudne dzieciństwo, stara się zapewnić własnemu dziecku jak najlepsze warunki. Nie sądzisz, że to zgodne z ludzką naturą?

- Sporo ludzi w tym mieście uważa, że motel nie jest odpowiednim miejscem do wychowywania dzieci.

- Sporo ludzi wygaduje bzdury. Dorasta we właściwym miejscu, Clay. Nawet kiedy jesteś najbardziej zajęty, masz go pod ręką. Poza tym ma dodatkowych opiekunów: Camerona, George'a i Susie. Wszyscy go uwielbiają. Spence czuje się tak, jak w wielkiej rodzinie.

Dostrzegł, że zapina górny guzik płaszcza. Powinien być mądrzejszy i nie wszczynać z nią rozmowy o Spence'u. Liz zawsze widziała życie, a także jego, w jasnych, wyidealizowanych barwach. Dlatego właśnie ją kochał, a zarazem nie przekraczał pewnych granic. Ufała mu niczym ślepe, bezbronne kocię. Czasem miał ochotę na nią wrzasnąć, żeby zobaczyła go takim, jakim jest naprawdę, nie bohatera, lecz

mężczyznę z krwi i kości, który często się myli, czasem popełnia wręcz tragiczne pomyłki.

Chociaż w gruncie rzeczy wcale nie życzył sobie, żeby poznała prawdziwego Claya Stewarta. Nie miało to wiele wspólnego z honorem, uczciwością, moralnością i prawdą. Pragnął jak najdłużej żywić iluzję, że ona go kocha.

Była w stanie doprowadzić go do szaleństwa samą obecnością. Chciał, żeby już sobie poszła i równocześnie wyszukiwał powody, aby skłonić ją do pozostania.

- Miałaś dziś wstępną rozmowę w sprawie pracy?

- Tak.

- Powiesz coś bliżej?

- Nie - odparła po prostu. Nie pierwszy raz rozmawiali już o tym.

- Jesteś nadzwyczaj skryta, jeśli idzie o wszystko, co dotyczy twoich planów zawodowych.

- Bo gdybym zwierzyła ci się, że mam kłopoty, chciałbyś mi od razu pomagać. Pewnego dnia zauważysz, mam nadzieję, że już dawno nie jestem małą dziewczynką i doskonale umiem się troszczyć o własne sprawy. - Uśmiechnęła się i bez zdziwienia odnotowała, że rozchylił usta, gotów do zaprzeczeń i pytań.

Wybrała najprostszą drogę, aby przerwać tę rozmowę, a kiedy go pocałowała, liczyła na moment zaskoczenia. Ciało Claya naprężyło się, przepłynęła przezeń fala gorąca. Ostrożnie ujął ją za barki, by zachować dystans. Zrozumiała. Opiekunki nie całują swych podopiecznych.

Usiłował się wykręcać, jednak uległ, kiedy jej język natrafił na jego język.

Powoli odsunęła się, choć zbierało w niej pożądanie. To na nic. Zmuszanie Claya do czegokolwiek było zupełnie bezcelowe.

- Słoneczko... Jak można cię nie kochać?

Zawiązało się pomiędzy nimi intymne porozumienie, płomień zaczął pochłaniać oba ciała - lecz wówczas Liz odeszła.

Clay zamartwiał się tym, gdzie i z kim jest Liz, a także co aktualnie robi. Był właśnie w kuchni i kosztował filetu z soli, przyrządzonego według nowego przepisu szefa kuchni.

- Delicje - przyznał. - Wciąż jednak myślę, że zbyt wyszukane dla zwyczajnych gości motelowych.

- Mogą nauczyć się to lubić - nalegał Ralph.

- Niewykluczone. - Może Liz wybrała się na basen i to nie sama. Wystarczyło, że o tym pomyślał, aby gwałtownie zaczęło bić mu serce. Spence włókł się z tyłu, trzymając w jednej ręce krewetkę, a pieczonego ziemniaka w drugiej.

Czasem korciło go, aby zwrócić Spence'owi uwagę, że na ogół ludzie nie jedzą w kuchni wielkości ogromnego magazynu i nie wyłudniają od personelu smakołyków pod pretekstem próbowania.

- Wędzona szynka jest dzisiaj świetna, Ralph.
- Ralph promieniał.

Spence przełknął, co miał w buzi i pisał:

- Czy zamierzasz ożenić się z Liz?

- Słucham?

- Pytałem, czy zamierzasz ożenić się z Liz.

Łyżka, którą Clay próbował zupę, znalazła się z powrotem w garnku. Podkuchenni ucichli nagle. Ralph wyglądał, jakby nie miał nic do roboty.

- Co to za pytanie, do licha? - wyszeptał Clay *sotto voce*.

Spence z ustami pełnymi kwaśnej śmietany i topionego masła wzruszył ramionami.

- Wiem, powtarzałeś wiele razy, że nie zamierzamy z nikim się żenić. Ale zazwyczaj nie graliśmy także z dziewczynami w piłkę. I nie braliśmy ich ze sobą na Wszystkich Świętych.

Ralph dostał napadu kaszlu. Clay spojrzął nań. Jego syn mierzył celnie.

- Robi się takie rzeczy z przyjaciółmi. Przyjaciele są ludźmi, którzy mogą włączać się w twoje życie, a ty im na to pozwalasz. Rozmawialiśmy przecież na ten temat.

- Tak więc... - wyglądało, że Spence zastanawia się. - Liz jest przyjacielem?

- Dokładnie tak.

- I nie zamierzasz się z nią ożenić?

- Nie.

- W takim razie ja to zrobię. - Spence zajrzał do garnka, zobaczył *broccoli* i skrzywił się.

- Sądzę, że na małżeństwo jesteś jeszcze nieco za młody - powiedział z naciskiem Clay. - Także, jak ostatnio słyszałem, niezbyt przepadasz za całym rodzajem żeńskim.

- Masz na myśli dziewczyny. Nie znoszę dziewczyn. Ale Liz nie jest jak dziewczyna, tato. Liz jest po prostu Liz. - Spence oblizał spód łyżki, a następnie sięgnął do tacy z wyrobami cukierniczymi. - Wiesz, ona lubi dzieci.

- Wiem, flirciarzu.

- Tak więc, jeśli ona wyjdzie za kogoś oprócz ciebie albo mnie, to może mieć dzieci. Dzieci, które nie będą mną. Nie sądzą, żeby to był dobry pomysł.

Clay popatrzył wilkiem na wykrzywioną w uśmiechu twarz szefa kuchni.

- Co rozumiesz przez stwierdzenie, że „ona może mieć dzieci”?

- Przestań, tato. Oglądałem Phila Donahue. Wiem wszystko o tych rzeczach.

- Zaczekaj chwilę. - Buzia Spence'a była zaklejona czekoladą. Clay sięgnął po serwetkę. - Kiedy oglądałeś Phila Donahue?

- Kiedy wróciłem do domu ze szkoły, bo bolał mnie brzuch. Nie pamiętasz? W każdym razie...
- Spence oblizał sobie palce owinięte serwetką podaną przez ojca. - Widzę to tak, że jeden z nas musi się z nią ożenić. I jeśli ty nie zamierzasz tego uczynić - ja to zrobię.

- Hej... - Clay powstrzymał pięć zachłannych palców sięgających po ekierkę. - Wracamy do pokoju.

- Czemu?

Ponieważ Clay miał dosyć myślenia i rozmawiania o Liz. Jego syn mu w tym nie pomagał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ledwo Clay zdążył zdjąć kurtkę, gdy brunetka w ozdobionym świecidełkami czerwonym kapeluszu oplotła ramionami jego szyję i wycisnęła mu na wargach głośnego całusa. Inne pulchne, dziko uczesane stworzenie wręczyło mu piwo. Z pewnego oddalenia dobiegały hałaśliwe rytmy starej znanej melodii, a dym zdążył spowić Claya, zanim ten znalazł drogę do salonu. Zapomniał, że przyjęcia u Speeda Matthews'a na ogół wymykały się spod kontroli gospodarza.

Swobodna atmosfera odpowiadała Clayowi. Przez całe lata nie widział się ze starymi przyjaciółmi - Tomem, Frankiem, Speedem. Byli żonaci, co nie przeszkadzało im używać życia. Na tę szaloną zabawę zabrali żony i dzieci.

Trunków nie brakowało. Clay starał się nie zwracać uwagi na hałaśliwą muzykę.

- Co się z tobą dzieje? Zważniałeś? - dopytywał się Matthews, kiedy Clay wzbraniał się przed kolejnym drinkiem. Zrezygnował więc z oporu. Brunetka w srebrnej bluzce zniemacka objęła go w pasie.

- Bardzo dawno cię nie widziałam, Clay. - Skądś ją znał. Obiecał sobie, że będzie zachowywał się powściągliwie, lecz dał spokój. Dojrzał do wieku, w którym postępuje się nieco staromodnie. Przestało go cieszyć uznanie w kobiecych oczach, nie kusiła

moc gorących, przyzywających warg - cóż, miał tego dość, ot i wszystko.

Bardzo dobrze znał reguły gry, którą chciała zaproponować mu brunetka. Nawet jedna noc z kimkolwiek lepsza jest od kolejnej spędzonej w samotności. Żadnych zobowiązań, oczekiwań, wymagań. Clay znał i wyznawał te zasady przez całe życie. Brunetka zaliczała się do kobiet, które znakomicie rozumiały mężczyzn takich jak on.

Clay świadomie odżegnał się od dotychczasowego trybu życia, odkąd pewna blond mizerota wróciła do domu. Zdawał sobie sprawę, że noc z inną kobietą - jakąkolwiek kobietą - może okazać się jedynym skutecznym lekarstwem na obsesyjną namiętność do Elizabeth Brady.

Rozmawiał jeszcze parę minut z brunetką, po czym wymamrotał:

- Zaczekaj, skoczę tylko po piwo.

Wolnym krokiem przeszedł do kuchni stwierdzając z przykrością, że poczuł się zdecydowanie lepiej, gdy tylko kobieta zniknęła mu z oczu.

W kuchni zgromadziło się kilku mężczyzn. Tom miał wydatny brzuch. Speed był już pod dobrą datą i przyrządzał duży dzbanek rumowego koktajlu. Obaj, klepiąc Claya po plecach, zaczęli wspominać stare czasy, przy czym ryczeli wprost ze śmiechu. Wspominali włącznie po Main Street w Ravensport w poszukiwaniu atrakcji, znajome dziewczyny, starą wieżę pożarową, na którą się wspinali i policję, która ich ganiała i diabli wiedzą co jeszcze.

Clay starał się włączać we właściwych miejscach i śmiać, kiedy należało.

Do kuchni wpadła raptem rudowłosa, kędzierzawa

żona Toma. Miała wydatny biust i pusto w głowie. Zamknęła Clay'a w objęciach z głośnym okrzykiem:

- Clay, jak się cieszę, że cię widzę!

Uśmiechnął się, spoglądając na zwróconą ku sobie twarz, zbyt mocno naciskały nań obfite piersi. Carrie zalecała się dawniej do niego. Być może nie łączyły go już żadne związki z tą starą bandą, ale w końcu Carrie nadal była żoną Toma. Jej palce zsunęły się w dół, na jego biodra. Nagle poczuł obrzydzenie.

- Cóż... - Rozluźnił się, wyprostował. - Nie mogę stać tu i gadać bez końca. W sąsiednim pokoju czeka na mnie dama.

- Tylko jedna? Starzejesz się, Stewart - nabijał się Speed.

Wiedział, że się starzeje. Stał w holu, zastanawiając się, gdzie mógłby się skryć. Jesteś wolny, pomyślał. Możesz się zabawić, Stewart. Możesz, jeśli tylko przestaniesz rozmyślać o Liz.

Harmider wzmógł się, kiedy weszli następni goście. Clay oparty o drzwi poczuł, jak włosy mu się jeżą na głowie, kiedy dostrzegł trzy zdejmujące płaszcze kobiety. Pamiętał, że w szkole chodziły do tej samej klasy. W ułamku sekundy rozpoznał błysk brązowych oczu i krótkie platynowe włosy.

Liz nie pasowała do zgromadzonego tu towarzystwa. Karmelowy sweter i spodnie z białej krepy zdawały się zbyt skromne, miękki blask pereł w jej uszach kontrastował ze sztuczną biżuterią, którą hojnie przyozdobiły się rozbawione panie. Policzki Liz były naturalnie zaróżowione od wiatru, a wargi ledwie muśnięte szminką. Clay zapragnął jej aż do bólu. W oczach Liz dostrzegł chęć szampańskiej zabawy.

Pomyślał ponuro, że zamierza przysporzyć mu nowych kłopotów.

Tym razem nie wchodziły w grę ostrzygi, zwariowana fryzura czy przewodniczka syna. Nie było również mowy o nieoczekiwanej zmianie zawodu lub wyznaniach miłosnych, których jedynym celem jest doprowadzenie mężczyzny do szaleństwa.

Dostrzegła go Carrie. Clay mrugnął do niej z grzeczności, następnie zanurkował w tłum i, niby przypadkiem, wychynął tuż za plecami Liz. Właśnie w tym momencie odwróciła się, trzymając w ręku szklanek wypełnioną jednym z groźnych koktajli rumowych Speeda.

- Uważaj, słoneczko. To jest trujące.

- Clay! - Liz ledwo słyszała własny głos pośród panującego zgiełku. - Na Boga, jak tu dziko!

Wyglądało, że dobrze się czuje w tej atmosferze. Nieoczekiwanie jeden ze starych szkolnych kolegów złapał ją za ramię i pociągnął bliżej muzyki. Ktoś związał dywan.

Clay dostrzegł, że Liz zrzuca buty. Speed krążył z nią po naprędce zaimprovizowanym parkiecie, następnie jego miejsce zajął Frank, po nim chudy facet, którego nie znał. Słyszał śmiech Liz, widział jej zarumienioną twarz.

Liz nie zorientowała się, kto wsunął jej do ręki drugą szklanek koktajlu z rumem, tak samo jak nie wiedziała, kto podał jej pierwszą. Dwukrotnie próbowała odnaleźć Claya. Ale za pierwszym razem zabarykadowała go w rogu czarująca brunetka, zaś za drugim obejmował ramieniem hojnie wyposażoną przez naturę rudowłosą kobietę.

Wreszcie wpadli na siebie w przejściu do łazienki.

- Cudownie, prawda? - entuzjazmowała się Liz.

- Cudownie - zgodził się. - Wygląda na to, że świetnie się bawisz?

- Nie gorzej, niż ty. - Uśmiechnęła się swobodnie, niczym stary przyjaciel. Odpowiedział jej w ten sam sposób.

Koło północy wymknęła się do kuchni, gdzie wdała się w rozmowę z facetem w okularach, o lisim nosie i budowie konia wyścigowego. Bóg jeden wiedział, co gadał. Od ciągłego hałasu bolała ją głowa, a wewnętrzny niepokój rósł coraz bardziej.

Poza nią nie było na przyjęciu kobiety, która nie dotknęłaby Claya. Rzecz jasna, zachowanie na takim spotkaniu różni się od codziennych obyczajów. Do diabła, gdyby nie chciała się zabawić, siedziałyby w domu i robiła skarpetki na drutach.

- ...chcesz zajść, wracając, do mojej chaty?

- Hmmm? - Spojrzała w górę, uśmiechnęła się do rozpraszającego jej uwagę Lisiego Nosa i powróciła do własnych myśli.

Cały czas pamiętała o tym, że prawie kochała się z Clayem. Prawie. Oraz o tych zuchwałych, zaborczych kobietach na przyjęciu, które na niego polowały. Z pewnością Clay nie przeciwstawia się im zbyt stanowczo.

- Uważam, że jesteś piękna.

- Fascynujące - mruknęła inteligentnie.

Tylko z pozoru Clay był wobec niej niezdecydowany. Straciła wiele czasu, aby się przekonać, że nadal uważa się za opiekuna młodszej siostry. Tylko wówczas, gdy stykały się ich ciała, zdarzało się to wszystko, co gwałtowne, pierwotne, fantastyczne i tak proste, jak mężczyzna i kobieta.

W każdym razie dla niej.

Myśl, że mógłby przeżyć miłość i doświadczać namiętności z inną kobietą, sprawiała jej ogromną przykrość.

Clay przechodził właśnie obok otwartych kuchennych drzwi, kiedy ujrzał, jak John Greeley wyciąga ramię, aby objąć Liz. Ponad metrową odległość dzielącą go od kuchni przebył w ułamku sekundy.

- Masz już dosyć?

- Słucham?

- Nancy i Janet wychodzą. Obiecałem im, że odwiozę cię do domu. Jesteś gotowa?

Na dworze było zimno. Świeżo spadły śnieg rozjaśniał noc. Miękki puszek pokrywał parapety, tworzył gładkie białe jeziora na trawnikach.

Liz, drżąc, otuliła się płaszczem, podczas gdy Clay przekręcał klucz w stacyjce. Włączył ogrzewanie. Nie miała nic przeciwko opuszczeniu przyjęcia, miała natomiast wiele zastrzeżeń do sposobu, w jaki przynaglił ją do wyjścia. Z kamienną twarzą prowadził samochód z dużą prędkością.

- Długo go znasz? - zapytał obojętnie.

- Kogo?

- Johna Greeleya.

Z całych sił starała się okazać cierpliwość.

- Clay, kto to jest John Greeley?

Spojrzał na nią bystro.

- Nie ma nic złego w tym, że chcesz się zabawić, słoneczko. Nie mam nic przeciwko temu. Ale, do diabła, nie z nim.

- O czym ty, do licha, mówisz?

W rekordowym tempie dotarli do jej domu. Liz nie wątpiła ani przez moment, że gdyby policja w Raven-

sport czuwała o tej porze, Clay zapłaciłby mandat za przekroczenie szybkości. Sądziła, że jest zirytowany, ponieważ musiał ją odwieźć.

Lecz przecież wcale nie prosiła o odwiezienie. Wpadła w złość. Miała zresztą i inne powody. Jednak zapomniała o gniewie, gdy w świetle ulicznych latarni spostrzegła ściągniętą z wyczerpania twarz oraz bruzdy wokół ust.

- Jesteś najlepszą kobietą, jaką znam, Elizabeth Brady - rzekł spokojnie Clay. - I dlatego chciałbym, żebyś znalazła właściwego mężczyznę. Potrzebujesz kogoś, komu mogłabyś ofiarować się bez reszty, bo taka już jesteś. To właśnie różni cię od innych kobiet i nie sądzę, żebyś o tym nie wiedziała. Na ogół, gdy ktoś przeżywa trudny okres, traci zdolność trzeźwej oceny. Jednak kiedy przez to wszystko już przebrniesz, znajdziesz odpowiedniego mężczyznę, takiego, który potrafi dać ci to, czego rzeczywiście potrzebujesz oraz pragniesz.

Liz spojrzała przeciągle na Claya, chciała coś powiedzieć, lecz tylko nacisnęła klamkę i wysiadła z auta.

Światła u Andy'ego na górze były wygaszone. W kuchennym zlewie piętrzył się stos naczyń. Liz bez trudu odgadła, iż wieczorem gościł swoją nauczycielkę od rysunków. Nie zdejmując płaszcza, napeściła wody do zlewu i wlała trochę płynu do naczyń. Zanurzyła w wodzie szklanki, talerze i sztućce.

Chwilę później stała przy oknie bawialni, po mokrych rękach skapywała jej woda. Naczynia pozostały nietknięte. Wysiadła z samochodu Claya z kompletnym chaosem w głowie, nie w pełni rozumiała jego ostatnie słowa.

W głowie Liz wirowały najrozmaitsze myśli. Nie miały nic wspólnego z owym nieznajomym, z którym przez chwilę rozmawiała w kuchni. Do tej pory sądziła, że Clay nie chce, aby między nimi coś się zawiązało, ponieważ nie podziela jej uczuć i nadal widzi w niej jedynie młodszą siostrę.

Nie przypuszczała, że uważa się za kogoś ulepionego z innej gliny. Uznał, że nie jest odpowiednim partnerem dla „damy”.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że uważa się za kogoś gorszego od niej.

O drugiej nad ranem Clay wciąż jeszcze popijał małymi łykami kawę, kartkując przy tym katalog komputerów, który Spence nadzwyczaj sprytnie położył w strategicznym miejscu, czyli na biurku Claya. Stacje dysków, RAM oraz ROM... jeśli Spence chce mieć tę rzecz, nic nie stoi na przeszkodzie, o ile tylko zdoła nauczyć się języka komputerowego.

Odłożył katalog, wstał z krzesła, odgarnął włosy z czoła. Czy Liz zrozumiała to, co powiedział? Zgasił światło, potem wyłączył żaróweczkę w kuchence i zajrzał do Spencera.

Mały spał jak zabity pod całym stosem koców. Clay uporządkował bałagan, zamknął drzwi do pokoju dziecka, po czym doszedł do wniosku, że jest bardzo zmęczony.

Wziął prysznic, położył się do łóżka i włączył telewizor. Gdzie się podziewają dobre, rozgrzewające umysł i krew filmy, kiedy człowiek ich potrzebuje?

Czy wolno mu zgodzić się na to, żeby taki przegrany facet jak Greeley zbliżył się do Liz, podczas gdy on sam nie kiwnął nawet palcem? Oczywiście, mogła

flirtować. Miał nadzieję, że to oddali myśli o nim. Wcześniej czy później będzie musiała spostrzec, że miłość do takiego mężczyzny jak on, jest tylko iluzją. Liz zasługiwała na więcej.

Miał właśnie wyłączyć telewizor, gdy usłyszał ciche stukanie do drzwi. Szybko złapał szlafrok. W motelu zdarzały się interwencje w środku nocy. Kiedy otworzył, zobaczył nieoczekiwanego gościa.

Liz miała bladą twarz, zmęczone oczy, na włosach resztki śniegu.

- Czy mogę wejść?
- Kochanie, co się stało?

Ścisłej owinęła się płaszczem. Ręce miała zimne jak lód.

Weszła powoli, usłyszała zatroskanie w jego głosie i dostrzegła cienie wokół oczu. Przyjechała tutaj, łamiąc wszelkie ograniczenia szybkości, pewna, czego chce i co musi uczynić.

- Liz...
- Muszę z tobą pomówić.
- Coś się wydarzyło?
- Tak. - Spojrzała na drzwi do pokoju Spence'a.
- Nie chciałabym go obudzić, Clay.
- Chodź.

Ujął ją za ramię i zaprowadził do swego biura, a zarazem sypialni. Jak pająk muchę, pomyślała w przebłysku wisielczego humoru. Zamknął drzwi i ruchem ręki wskazał jej szerokie biurowe krzesło.

- Chcesz kawy?
- Nie.

Biurko Claya pokrywały rozrzucone papiery oraz tekturowe teczki, oświetlone stojącą przy łóżku lampą. Na podwójnym materacu piętrzyły się ciśnięte tam

koce. Jeśli nawet jeszcze nie spał, musiał już leżeć w łóżku. Clay usiadł na brzegu tapczana nie odrywając wzroku od Liz. Nosił stary, pognieciony i niedbale rozchełstany welurowy szlafrok w kolorze czerwonego wina.

Zupełnie nie zwrócił uwagi na swój domowy strój ani na to, że znaleźli się w sypialni. Skupił się na tym, żeby jej wysłuchać i pomóc. Tak jak zawsze, chciał stanąć po jej stronie i wziąć na swoje barki jej kłopoty.

Miała ochotę nim potrząsnąć

- Siadaj. Jesteś taka przygnębiona.

- Jestem. - Zaczepnęła tchu. - Chcę porozmawiać z tobą o tym, o czym mówiłeś w aucie, Clay. Ale jeszcze nie w tej chwili. Przez kilka minut wolałabym pomilczeć.

- Liz...

Umilkł, kiedy ściągnęła płaszcz i pozwoliła mu opaść na podłogę.

Pod płaszczem nie miała na sobie nic poza francuską bielizną z czarnego atłasu. Taki wyrafinowany strój zwykły nosić określone kobiety. Zupełnie świadomie nałożyła tę bieliznę. Nadawał się idealnie do udowodnienia mu, że nie jest damą.

Clay był w pierwszej chwili tak zdumiony, że nie mógł się ruszyć. Przesunął wzrokiem po czarnym atlasie, po marmurowobiałej, zmarzniętej skórze, aż wreszcie popatrzył Liz prosto w oczy. Nie dostrzegła choćby cienia pożądania. Patrzyła na uśmiechającego się mężczyznę. Nic nie łagodziło napięcia, które zawisło w powietrzu, jedynie ta znajoma nuta w jego głosie.

- Nałóż z powrotem swój płaszcz, Elizabeth Brady.

Wstrząsnęła głową, czując, że znalazła się na

rozdrożu. Nie była w stanie uczynić ani kroku naprzód. Nie zamierzała się również cofać.

- Cóż, chyba nie będziesz tutaj stać i marznąć?

Przemawiał tak rozsądnie, tak cierpliwie, z taką pewnością siebie. Właśnie to sprawiło, że odzyskała zdolność myślenia i działania. Poczuła się pewniej. Kiedy Clay odwrócił się z grubym wełnianym szalem w dłoniach, akurat ściągała stanik.

- Do diabła, Liz. - Upuścił szal, gdy zaczęła mocować się z majtkami. Poddała się. Zbyt mocno drżały jej palce. A właściwie, czego się po nim spodziewała w tej sytuacji? Miał przed sobą nagą kobietę. Clay z pewnością widział już dostatecznie wiele nagich kobiet. Ciało pozostaje ciałem, w jej przypadku nawet chudszy niż wiele innych.

Zapewne lepiej, gdy w takiej chwili wzbiera pożądanie, ale jedyne uczucie, które ją w zawrotnym tempie ogarniało, to gniew. Clay był dla niej nie dość dobry? A do tego jeszcze to gadanie: znajdziesz go, Liz, znajdziesz właściwego mężczyznę.

Czy on sobie wyobrażał, że jest byle kim?

Do diabła, nawet nie wiedziała, jakim cudem wyrobił sobie o niej taką opinię. Od tego się przecież wszystko zaczęło. Przez lata celowała w pomyłkach. Jasna cholera, większość z nich miała związek z Clayem. Ostatnia to małżeństwo z Dawidem. Inna, także ważna, dotyczyła wyboru właściwego zawodu. Do tej pory nie miała dość odwagi, aby przyznać się, czego chce i czego pragnie, a na dodatek wiecznie lękała się podjęcia decyzji.

Teraz nareszcie wybrała i nigdy w życiu nie czuła się równie przerażona. Powoli zaczynała się domyślać, jakim człowiekiem jest Clay. Przymknęła sobie, że nim

skończy się noc, Clay będzie przerażony znacznie bardziej niż ona. Ruszyła zatem do ataku, podsuwając się na tyle blisko, aby dotknąć jego policzka.

Poczuła napinające się raptownie mięśnie.

- Nie, kochanie - rzekł spokojnie. - Sądzę. Liz...

Wiedziała, co sądził. Kiedy wspięła się na palce i opłótła mu ramionami szyję, stwierdziła, że temperatura jego ciała gwałtownie wzrosła. Dotknęła wargami jego ust, łagodnie, niczym doświadczony mężczyzna, który uwodzi dziewczę. W pewnym sensie Clay pozostał dziewicą. Wątpiła, czy jakakolwiek kobieta tak naprawdę go kochała. Seks to co innego. Seks miał ją ostatecznie przekonać, jaki... wspaniały jest Clay. Jedyne w swoim rodzaju, prawdziwy, stąpający mocno po ziemi mężczyzna, który zasługuje na wiele miłości.

Zapomniała o obawach, odrzuciła wszystkie zahamowania. Koniuszkiem języka pociągnęła w górę jego szyi, zamykając pocałunkiem nieruchome wargi, palcami przeczesywała włosy. Czarny atłas ocierał się o jego uda. Serce Clay'a zaczęło uderzać nierówno.

- Rozchył wargi, Clay - szeptała. - Przysięgam, nie będzie ani trochę bolało, nie obawiaj się.

- Bolało? - Przełknął z trudem ślinę. - Dziwne określenie, Liz. Zauważyłem już, że jedno z nas raczej nie znajduje się ani przy zdrowych zmysłach, ani nie odznacza się nadmiarem rozsądku. Teraz...

- Teraz - potwierdziła Liz. - Rozchył usta.

Oddychał znowu równo. - Będziemy się tak bawić, dopóki się nie zmęczysz i nie zrozumiesz, że niczego nie osiągniesz, Liz. Nie zamierzam się z tobą kochać.

- Tak, wiem. - Nawet gdyby próbował, nie pozwoliłaby. To ona miała go obdarzyć miłością, nie on

ją. Mimo całej lej gadaniny, wargi Claya rozchyliły się. Jej język wślizgiwał się ukradkiem do środka. Jakimś sposobem zdołał zacisnąć zęby, starając się zapanować nad sobą. Przesunęła językiem po gładkich, białych zębach. Potem, gdy je wreszcie rozchylił, po jego języku...

Kiedy mimo wszystko postawiła na swoim, okazało się, że Clay jest mężczyzną popełniającym wiele błędów. Najpierw plecy. Gdy się gniewał i zamierzał wykonać gwałtowny gest, napinał plecy w obronnym odruchu. Przesuwała palcami po jego barkach lekko, delikatnie. Uszy. Zwykł był słyszeć tylko to, co chciał usłyszeć. Mogła ich dosięgnąć, gdy stanęła na palcach. Językiem wodziła po muszli jego ucha. Oczy. Clay tak często tłumił swe prawdziwe uczucia, że w końcu ludzie dostrzegali w jego oczach tylko to, co chcieli ujrzeć, a nie to, co istotnie w nich się kryło. Delikatnie muskała wargami jego zamknięte powieki. Wrażliwe dziewczę należy traktować delikatnie. Kochała tego mężczyznę za każdy błąd, który popełnił, i za te, który zamierzał popełnić.

Clay był rozdygotany.

Prowokująca, bezwstydną, niemoralną. Słowa przełykały jej przez głowę, lecz choć była w pełni świadoma własnego postępowania, nie oceniała go w taki sposób. Oddanie wzbierało w jej sercu. Kochała go. Chyba po raz pierwszy w życiu ofiarowywała komuś wszystko, uczciwie, boleśnie, bez względu na ryzyko. Nigdy dotąd nie była w pełni kobietą, nigdy nie była dostatecznie silna, wystarczająco pewna.

- Do diabła, słoneczko...

Była zdeterminowana, owszem, ale nie potrafiła stać bez przerwy na palcach. Opadła w dół, chwytając

się równocześnie jego szlafroka. Wtuliła policzek w zarośniętą pierś. Clay był bardzo rozpalony. Wargi Liz poszukiwały źródła owego żaru, muskając płaskie brodawki, wypukłą klatkę piersiową. Odkryła, że w pewnym miejscu ciało Claya nadal jest twarde. Ale tylko w pewnym miejscu. W tym właściwym. Zsunęła palce po mocno napiętym brzuchu, wyczuwając kępkę sprężystych włosów.

Najbardziej nieustępliwi w końcu ulegają. Chrapliwy oddech Claya i dźwięk, wydobywający się spomiędzy warg był o wiele bardziej wyrazisty, niż wszelkie miłosne deklaracje. Gniewnie, na oślep, brał jej usta, jakby nigdy dotąd nikogo nie całował. Napierał gwałtownie.

- Tak się boję, że będziesz żałować.

- Nigdy w życiu.

- Co ty ze mną robisz, słoneczko? Co ty ze mną zawsze robiłaś? - Potrząsnął głową, znów ją pocałował, wędrując dłonią w dół, przez szyję, piersi i brzuch. Jej francuskie majteczki znalazły się na podłodze.

Serce nigdy nie biło jej tak szybko. Wiedziała już wcześniej, że Clay należy do mężczyzn, którzy potrafią dawać, ale nigdy nie uświadomiła sobie, jak wiele. W żółtym świetle lampy jego oczy zdawały się pełne niezwykłej czułości, równie ogromnej jak ta, którą ofiarowywały jego ręce niosące rozkosz. Zapamiętała z owego wieczoru na pływalni poczucie zagubienia pośród wody i ciemności. Teraz czuła się tak, jakby została odnaleziona.

Jak się spodziewał, okazała się delikatna, ale także wrażliwa. Skóra Liz. Zapach. Słodka namiętność, która wybuchła, gdy Liz oplotła nogami jego biodra i te miękkie dźwięki wydobywające się z jej gardła. Do

niedawna potrafił trzymać się na wodzy. Może dlatego pożądanie ogarnęło go tak niepodzielnie. Język Liz potrafił do reszty pozbawić rozsądku. Pieszczoty umiały sprawić, że czas stanął w miejscu. Chętne, płonące z pragnienia ciało, mogło natchnąć mężczyznę wiarą, że jest w stanie wszystkiego dokonać, wszystko osiągnąć.

Chciał się w niej zatracić. Językiem przesuwiał po koniuszkach piersi. Głaskał uda, stopniowo, bardzo powoli, kierując się ku wrażliwym miejscom. Gniazdo miękkich, sprężystych włosów połaskotało mu dłoń. Wyprężył palce, a wtedy Liz wygięła się, przylegając doń ciasno, cała giętka, uległa, ustępliwa.

Powiodła rękami wzdłuż jego ciała, oparła dłonie o biodra, przyciągając je mocniej ku sobie, zaś jej namiętny szept wstrząsnął nim do głębi. Nie była kruchą, niedosięglą damą. Była kobietą z krwi i kości.

Długo nie mogła pojąć, że tak naprawdę nikim innym nie pragnie być.

Wyczerpana, oszołomiona przylgnęła do niego, ofiarowując siebie. Uległa. Clay nakrył ją swym ciałem, a ona przyjęła go chętnie.

Brazowe oczy napotkały czarne. Nastał czas pulsującego rytmu, dzikiego, pierwotnego. Stanowili jedność. Należeli do siebie całkowicie. Okazuje się, że między dwojgiem wszystko może być takie łatwe, proste i odwieczne niczym natura.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Skąd masz tę fantazyjną bieliznę?
- Lubisz czarny atłas?
- Nie.

Liz zachichotała, tuląc głowę do ramienia Claya.

- Ależ tak, lubisz.
 - Jesteś niebezpieczną kobietą.
 - Dziękuję ci.
 - To nie jest komplement. - Nawet przez moment nie przestawał gładzić palcami jej włosów. - Na przyjęciu wszyscy mężczyźni zwracali na ciebie uwagę.
 - Nie było także kobiety, która starałaby się trzymać z dala od ciebie.
 - Czy właśnie dlatego zastukałaś do moich drzwi o drugiej nad ranem w tak niecodziennym stroju?
 - Jasne, że nie. Przyjechałam złożyć ci osobiste podziękowanie. Odkąd ścięłam włosy, jesteś jedyną osobą w całym mieście, która nie rozpoczęła rozmowy od: „Coś ty najlepszego zrobiła?”
 - Czy zawsze składasz osobiste podziękowanie w tak szczególny sposób?
 - Zawsze.
 - Tak czy siak, twoje włosy wyglądają wspaniale.
 - Przechylił głowę, obserwując ją badawczo. W przyćmionym świetle lampy potargane złote pasma oplatały jego palce.
 - Widzisz, jaki potrafisz być miły? - Nachyliła się

i całowała go bez pośpiechu. - Być może, po czterech latach odrosną.

- Głuptas.

Błądził wzrokiem po czerwonych wargach, obserwował senny wyraz oczu. Za pierwszym razem potrafił jakoś usprawiedliwić utratę kontroli nad sobą. Liz umiałaby skusić nawet świętego. Za drugim razem nie miał żadnego wytłumaczenia. Zapomniał o ostrożności, nie myślał już o niczym, prócz tego, żeby ją wziąć, osiąść zachłannie, z pasją, która pozbawiła go zdrowego rozsądku. Spoczywający w jego ramionach brązowooki anioł wyglądał na bezwstydnie usatysfakcjonowanego i zadowolonego. Co miał z nią zrobić?

- Jestem kłamczucha.

- Dlaczego?

- Nie przyszedłem tu wcale dlatego, że lubisz moje włosy - poinformowała go.

- Nie? - Poprawił starannie szal wokół podbródka Liz. Już dwa razy próbowała wstać. Zorientował się, że chce wyjść, zanim obudzi się Spence. Nigdy nie przyprowadził tu na noc kobiety. Tak, Liz powinna odejść. Ale jeszcze nie teraz. Było mu przykro. Liz nie należała do kobiet na jedną noc. Tym bardziej nie powinien był jej ulegać i kochać się z nią.

- Przyszedłem - powiedziała Liz - ponieważ chciałam znaleźć się w ramionach niewłaściwego mężczyzny. Mężczyzny o nie najlepszej reputacji i przeszłości. Każda prawdziwa dama powinna go unikać. Czy nie starałeś mi się wcześniej wyjaśnić, Clay?

Liz odrzuciła przykrycie i przytuliła się do Claya całym ciałem. Nie był w stanie zebrać myśli, nie o piątej nad ranem i nie po takiej nocy. Dotyk ciepłych piersi oraz brzucha wystarczająco go roz-

praszał. Co gorsza w oczach Liz pojawiły się znów niebezpiecznie zuchwałe iskierki.

- Wiesz, że mam za sobą własną przeszłość - rzuciła od niechcienia. - Nie pojmuję, czemu tak długo nie umiałeś tego zrozumieć. Clay, po co owijać w bawełnę. Trzy raz próbowałam cię bezwstydnie uwieść. Jak, twoim zdaniem, świadczy to o mojej moralności?

- Nijak. Potwierdza jedynie fakt, że niekiedy zdarza ci się mylić różne sprawy.

- Istotnie - zgodziła się lekko z kpina w głosie. - Co więcej, popełniłam takich omyłek sporo. Nieudane małżeństwo. Wybór niewłaściwego zawodu. Krzywdziłam ludzi, Clay, i to stosując niewybaczalne metody. Czy ty naprawdę sądzisz, że byłeś wyjątkiem?

- Kochanie, jesteś szalona. - Przemawiał głosem, który czułością dorównywał pocałunkom, jakimi obsypywał jej czoło i policzki. - Nic, co uczyniłaś do tej pory, nie jest naganne, Liz.

- Nieprawda.

- Prawda.

- Jesteś uparty jak osioł, udowodnię ci to. Mogę coś powiedzieć?

- Nie.

Uśmiechnęła się.

- Przecież chcesz uwierzyć, wbrew temu wszystkiemu co mówisz - powiedziała cicho. - Nie jestem niewinnym dziewczątkiem. Przeżyłam sporo w trakcie separacji z byłym mężem, ale to działo się ponad rok temu. Z tamtego związku wyniosłam jedynie poczucie żalu i winy, Clay, ale nie szukałam na siłę innego mężczyzny, żeby łatwiej i szybciej zapomnieć. Nie pasuje do mnie wizerunek szukającej rozrywek rozwódki. Po doświadczeniach z moim eks-mężem mogłabym się spokojnie

obejść bez seksu przez kolejnych dziesięć czy dwadzieścia lat. - Usiłował jej przerwać, ale przeszkadzała mu, pocierając koniuszkiem palca o jego wargi.

- Tak więc wszystko jest jasne - oświadczyła.
- Przyszłam tu, bo cię kocham. Nie ma żadnego innego powodu.

O trzeciej po południu Liz stała naprzeciw biura Izby Handlowej. Przenikliwie zimno panujące tego dnia zapowiadało nadejście zimy. Wystarczył krótki spacer po wyjściu z auta i już miała zupełnie skostniałe stopy.

Ale w głębi pulsowało przyjemne ciepło. Przeżycia ostatniej nocy uskrzydlały ją. Odnosiła wrażenie, że rozsadza ją energia. Przedarła się do Claya. Podjęła ryzyko, poddała się uczuciu, zawierzyła instynktowi. Jeszcze nie tak dawno nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek będzie do tego zdolna.

Miłość do Claya nie przekreśliła dawnych błędów. Przeszłości nie można cofnąć. Natomiast można i należy wyciągać wnioski. Liz nauczyła się, że dawanie nie jest równoznaczne z poświęcaniem się. Uczciwość wobec innych i samej siebie łączyła się dla niej teraz z poczuciem własnej wartości, z uznaniem własnej kobiecości. Liz nigdy przedtem nie próbowała oceniać samej siebie.

Miała szczerzy zamiar za jakiś czas przekonać Claya. Chciała nauczyć go wielu rzeczy, ale jeszcze nie teraz. Najpierw musiała załatwić pewną nie dokończoną sprawę. Przywołała całą odwagę, otworzyła oszklone drzwi i weszła.

Biuro nie zmieniło się od czasu poprzedniej wizyty. W nowoczesnym wnętrzu dominowały tonacje koralu i szarości. Kobieta o siwych, upiętych w kok włosach nadal nosiła okulary bez oprawy, a jej uśmiech był raczej rutynowo uprzejmy niż serdeczny.

- W czym mogę pomóc?
- Nazywam się Liz Brady. Mam nadzieję, że pan Graham może mnie przyjąć?
- Czy pani była umówiona?
- Niestety, nie. - Z tyłu biura dochodził rytmiczny stukot maszyny do pisania. Telefon dzwonił tak samo jak ostatnio. Wtedy panu Grahamowi wystarczyło mniej niż dziesięć minut, aby zorientować się, że Liz brakuje formalnych kwalifikacji. Na opuszczenie biura nie potrzebowała wtedy nawet kolejnych dziesięciu minut. Wychodziła szybko, zażenowana, skrępowana, z upokarzającą świadomością, że się nie nadaje.

- Cóż, zobaczę - powiedziała siwowłosa kobieta i wcisnęła guzik telefonu. - Panie Graham...

Po chwili odezwała się: - Proszę od razu wejść, panno Brady. Przyznam, że dzisiejsze popołudnie jest do końca wypełnione, lecz jeśli nie zabierze pani więcej niż piętnaście minut...

- Nie zabiorę - obiecała Liz. Zapukała do szarych drzwi, a następnie weszła. Drzwi zatrzasnęły się, odgradzając ją od biurowego zgiełku.

Liczący sobie bez mała pięćdziesiątkę pan Graham siedział przy lśniącym biurku z włoskiego orzecha. Zmarszczki wokół ust świadczyły o wesołym usposobieniu. Niedźwiedziowate ciało pana Grahama miało, na oko sądząc, około dziesięciu kilogramów nadwagi. Poprzednim razem nie był nieuprzejmy, jedynie stanowczy.

- Przykro mi, że niepokoję pana po raz drugi, panie Graham. Prawdę mówiąc, nie byłam przekonana, czy zechce mnie pan ponownie przyjąć - zaczęła Liz, zatrzymując się przed nim z ręką wyciągniętą ponad biurkiem.

- Nonsens, panno Brady. Mam nadzieję, że nie żywi pani do mnie urazy. W czym mogę pomóc?

- Czy obsadził pan już to stanowisko?

- Jeszcze nie, ale, jak pani mówiłem, nie chcemy się zanadto spieszyć. Nie dlatego, żeby Ravensport nie potrzebowało dopływu świeżej energii, ale szukamy odpowiedniej osoby. Musimy mieć co najmniej kilka miesięcy. Proszę siadać, bardzo proszę.

- Dziękuję. - Liz zdjęła płaszcz i usiadła na brzeżku krzesła. Wiedziała, że nie zdoła ukryć zdenerwowania.

- Właśnie o tej sprawie chciałabym z panem rozmawiać, panie Graham.

- Ach tak, cóż... - Nie wyglądał na zachwyconego. Liz zorientowała się, że próbuje znaleźć jakiś taktowny sposób pozbycia się jej po raz drugi. Był wyraźnie zniecierpliwiony tym, że sekretarka nic uchroniła go przed nie zapowiadzaną, kłopotliwą wizytą.

- Tak - odezwała się łagodnie. - Wiem, że już raz odrzucił pan moją kandydaturę. Nie ma nic gorszego i żenującego, niż wpychanie się na siłę tam, gdzie cię nie chcą, lecz, panie Graham... - Zacerpnęła tchu. - Wydaje mi się, że przedstawiłam swoje kwalifikacje bardzo nieprzekonująco. Nie ma najmniejszego powodu, dla którego musiałby pan wysłuchiwać wszystkiego kolejny raz, ale bardzo mi na tym zależy. Obiecuję, że nie zabiorę panu zbyt wiele czasu. To nie potrwa nawet dziesięciu minut.

Czuła, jak się jej przygląda.

- Słucham panią. Ale...

- Nie mam formalnych kwalifikacji, których pan wymaga, ani doświadczeń w podobnej pracy. Nie było mnie również w Ravensport dziesięć lat i jeśli jest pan absolutnie zdecydowany, aby zatrudnić kogoś szaleńczo przebojowego... - uśmiechnęła się. - Wtedy, przyznaję, nie nadam się. Mogę rekomendować panu

natomiast swoje kwalifikacje bibliotekarskie. Pochodzę z dobrego chowu, panie Graham. Prowadzimy zwykle rozmowy w sposób niecierpliwy, czepiając się szczegółów i szukając dziury w całym. Powierzchowne wypowiedzi, podobnie jak powierzchowne rozwiązania, nie budzą naszej aprobaty. Mówimy, że jesteśmy zaangażowani w badanie wszystkich aspektów, opcji, faktów i tacy perfekcyjniści mogą być uciążliwi we współpracy. Prawdopodobnie to, co mówię, nie brzmi dla pana nazbyt przekonująco...

Piętnaście minut później pan Graham z wielce osobliwym uśmiechem podniósł słuchawkę telefonu i odwołał następne spotkanie. Do tego momentu Liz omawiała jedynie potrzeby Ravensport: koloryt lokalny, wyjątkowe położenie, samopoczucie mieszkańców, strukturę zatrudnienia.

O godzinie piętnastej czterdzieści pięć sekretarka przyniosła kawę. Pan Graham odwołał ze zniecierpliwieniem kolejną wizytę. Do tej pory spierali się o wpływy, jakie powinno czerpać miasto. Rozprawiali o Jeziorze Michigan, które latem roiło się od pięknych, bogatych łodzi. Ravensport nie miał z gości żadnego pożytku. Pan Graham i Liz dyskutowali o tym, w którym miejscu powinno się zbudować przystań, żeby łodzi mogły cumować na zimę oraz zastanawiali się, czy nie uruchomić stoczni. - Dobre łodzie, pierwszorzędny materiał, wykonanie najwyższej jakości - zamruczał pan Graham. - To świetny pomysł.

Dyskusja przeciągała się. O siedemnastej siwowłosa sekretarka wsunęła głowę przez drzwi, aby oznajmić, że idzie do domu.

Gdy tylko wyszła, pan Graham zwrócił się z westchnieniem do Liz. - Ona jest potworem. Jak tylko

podejmie pani pracę, będzie pani musiała się z nią dogadać. Mnie się to nigdy nie udało.

- Zastanawiam się, czy istnieje taki przepis - me-
dytował Andy w godzinę później. Spaghetti wystygło,
tost z czosnkiem był przypalony, zaś sałatka nie
doprawiona. Zdążył już niemal zapomnieć, jak samemu
przyrządzać obiad. Nie było w tym jednak jego winy,
Liz rozpuściła brata w ciągu ostatniego miesiąca.

- Jaki przepis?

- Jak zeskrobywać siostry ze ściany. Po co wstajesz?

- Po serwetki - odparła, nie do końca w zgodzie
z prawdą.

- Skoro wstajesz, mogłabyś zdjąć płaszcz.

- Zaraz po obiedzie jadę do Claya.

- Nie dziwi mnie to zbytnio. Zamierzasz pofrunąć,
czy przenieść się jak normalni śmiertelnicy? - Przyjął
widelec wręczony przez Liz oraz nadstawił czoło do
siostrzanego pocałunku. Następnie sam wstał po
serwetki.

- Nie jestem pewien, dlaczego właściwie jesteś taka
podekscytowana. Przecież sama mówiłaś, że zaczniesz
pracę nie wcześniej, niż w przyszłym miesiącu.

Przytaknęła skinieniem głowy.

- Wtedy uruchomią budżet, ale nie o to chodzi,
Andy. Potrzebuję paru tygodni, żeby pojechać do
Milwaukee, spakować się, uporządkować mieszkanie
i znaleźć kogoś, kto je wynajmie.

- To pierwsza rozsądna rzecz, jaką słyszę, odkąd
tu weszłaś - zauważył Andy. - Skoro ci się wszystko
układa, odpuść sobie trochę. Odeśpij.

- Odeśpię.

- Zamierzasz to zrobić przed Bożym Narodzeniem?

Dzisiejszego ranka przypadkiem zauważyłem, że wracasz o tej samej porze, o której ja wstaje.

- Wróciłam raczej późno - wymamrotała Liz.

- Powiedz lepiej: o świcie, parę minut w tę czy w tamtą nie gra roli - dorzucił Andy. - Znam Claya piekielnie długo. Obserwuję was od dawna, gdy ty jeszcze nosiłaś mysie ogonki. Nigdy nie mogłem was zrozumieć i, na miłość boską, nie staraj się teraz mi tego wyjaśnić. - Wydawał się przestraszony, gdy Liz otworzyła usta. - Nie chcę o niczym wiedzieć. Tylko że człowiek ma prawo się denerwować, kiedy widzi, jak własna siostra tonie.

- Andy! - Liz była oszołomiona. Andy bezceremonialnie wdzierał się w jej najintymniejsze sprawy. I nie umiał się powstrzymać.

- Kocham tego faceta jak brata - stwierdził spokojnie - ale niemal od dnia narodzin Clay jest niebezpieczny dla kobiet. Tylko tyle chciałem powiedzieć. Poza tym, mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Wiem - odparła po prostu.

Nie miała żadnych wątpliwości. To był jeden z takich dni, kiedy nic nie mogło zakłócić jej szczęścia. Dostała wreszcie wymarzoną pracę, co stanowiło nie lada sukces. Stanie na własnych nogach. To bardzo ważne. Przecież rozpaczliwie pragnęła osiągnąć sukces. Chciała posiadać stałe zajęcie również ze względu na Claya.

Miał skłonności do opiekowania się wrażliwymi, nieporadnymi nieudacznikami, zawiedzionymi przez los. Liz była przekonana, że właśnie tak traktował ją jako nastolatkę, tak próbował odnosić się do niej na samym początku, gdy tylko wróciła do domu. Wyprowadzenie Claya z błędu wymagało czasu, nie wystarczyła jedna, ostrożnie przeprowadzona roz-

mowa. Potrzebował czegoś więcej. Ale początek został zrobiony. Chciała mu udowodnić, że jest dorosłą kobietą, która potrafi sobie radzić w życiu. Popełnia wprawdzie błędy, lecz umie też walczyć o swoje sprawy, wie, na co ją stać, rozumie siłę uczucia instynktu, a także zna własną wartość.

Zmywanie naczyń pozostawiła bratu, który przybrał odpowiednio zbolały wyraz twarzy, a sama, zachowując przepisową szybkość, pojechała do motelu. Clay, oczywiście, będzie zajęty. Chciała tylko naprędce podzielić się z nim niedawnym sukcesem, myślała także o tej szczególnej tęsknocie, która narastała w niej przez cały dzień. Lecz gdy zajechała na parking, znalazła się nagle w kręgu zupełnie innych spraw i nastrojów.

Przy tylnych drzwiach motelu stały dwa policyjne wozy. Wokół zebrał się tłumek, zbite postacie zasłaniały widok. Zdrowy rozsądek podpowiadał Liz, aby się nie mieszać. Stukając obcasami po chodniku, szła w stronę głównego wejścia, dopóki nie zauważyła pośród krzaków urwisa w czerwonym nakryciu głowy. Pamiętał o kapeluszu oraz o płaszczu, nie miał natomiast butów i stojąc w skarpetkach na mokrej ziemi, przestępował z nogi na nogę. Kiedy ją dostrzegł, podbiegł natychmiast.

- Nie uwierzysz! To kapitalne, Liz! Złapaliśmy złodzieja! - entuzjasmował się Spence.

- Cudowne - wymamrotała Liz. Podniosła go i uścisnęła. - Jak myślisz, dlaczego mam wrażenie, że twój tata jest przekonany, iż siedzisz w pokoju z Cameronem?

- Graliśmy w karty. Ale Cam zasnął przed telewizorem i wtedy zobaczyłem te światła błyskające pod oknami i...

- Opowiesz mi resztę, kiedy będziesz w środku, w suchych skarpetkach, mały.

- Nie mogę teraz odejść. Właśnie go biorą. A tata uderzył tego faceta. Powinnaś była to widzieć, Liz! - Spence przesunął się i stopami zaczął naśladować ruchy nóg zawodowego boksera. - Trzasnął go prawym hakiem, złapał lewą ręką i przeciągnął przez całą drogę w dół długiego korytarza, do jego pokoju. Ta pani płakała, wiesz, to był jej naszyjnik. Sądzę, że facet, z którym się zameldowała, był jej bratem i on miał wielki problem. Taki problem, o którym w telewizji mówią „następny program przeznaczony jest wyłącznie dla widzów dorosłych”. Do licha, ja wiem, co to znaczy. W każdym razie wszyscy wiedzą, że chodziło o narkotyki. Wiesz, co bym odpowiedział, gdyby ktoś zapytał, czy chcę spróbować, prawda?

- Nie, kochanie. Co? - Liz znalazła skarpetki, wprawdzie jedną białą, a drugą szarą, lecz przynajmniej obie były suche.

- Spadaj, pęta. Narkotyki to nie zabawa, tylko głupota - ot, co bym powiedział. A jakby mi dalej truł, walnąłbym go tak samo, jak tata rąbnął tego faceta. Bach! Widzisz, ta pani starała się odebrać swój naszyjnik, a brat rzucił się na nią. Tata powiedział, że nie wolno bić kobiet. Nigdy. Nawet w wyjątkowych sytuacjach. Nawet jeśli jest to Sara Breeling, która ukradła ci najlepszą gumkę do ścierania. I wtedy przyjechała policja! Dwa auta!

- Widziałam. - Liz w zasadzie zrozumiała, choć relacja Spence'a była dość chaotyczna.

Już w suchych skarpetkach i butach musiał koniecznie powtórzyć całą historię Cameronowi, który obudził się z drzemki, przerażony, że zaniedbał obowiązków

opiekuna. Gdy tylko upewnił się, że Spence będzie bezpieczny z Liz, natychmiast wyszedł, aby osobiście przekonać się, co się właściwie wydarzyło i czy się do czegoś nie przyda.

Spence był bez wątpienia bezpieczny, ale po godzinie przestał być nadmiernie podniecony. Zaczął się niepokoić.

- Wiesz, co się stanie, kiedy wróci tata, prawda?

- Zdziwi się, dlaczego jeszcze nie śpisz, choć już minęła dziewiąta.

- Nie, wygłosi przemowę do naszych sumień.

- Przemowę? - Tapczan składał się z kilku poduch i Spence uznał, że warto zajmować tę samą poduchę, co Liz. Liz odkryła, że Spence nie miał nic przeciwko temu, aby się przytulić, nawet do dziewczyny.

- Kazanie. O tym, że musimy się przeprowadzić, bo to nie jest właściwe miejsce dla mnie. Nie powiesz mu o drzemce Cama, prawda? Tata byłby wściekły. Wciąż usiłuję mu wytłumaczyć, że już nie jestem dzieckiem.

- Wiem.

- Ale on się zbyt denerwuje różnymi sprawami. Na przykład barem. Wielkie mi co. A tata nie chce, żebym się kręcił w pobliżu. Nie zbliżam się do baru, kto miałby na to ochotę? Ale gdyby nie było baru, nie byłoby także George'a. Widzisz, George nie ma syna i czasami mu go zastępuję. Do licha, co więcej mógłbym zrobić. On jest zupełnie sam. A czy ty się zdecydowałaś?

Monotonny monolog Spence'a coraz częściej przerywały głośne ziewnięcia. Pod koniec słowa zaczęły się zlewać, a oczy stawały się coraz mniejsze.

- Na co miałam się zdecydować, śmieszność?

- Odgarnęła mu włosy z czoła, czując, że go pokochała.

- Co z nami? Jeśli nie chcesz wyjść za mnie, czy zechcesz wyjść za mego tatę? Obiecałaś, że dasz mi odpowiedź, kiedy się następnym razem spotkamy.

- Tak mówiłam?

- Aha.

- Cóż... - Spence'owi oczy same się zamykały.

- Czy wystarczy ci na razie, jeśli powiem, że kocham i ciebie, i twojego tatę?

- Nie wystarczy. O tym już wiem - stwierdził z niezadowoleniem. - Nie mam wcale zamiaru spać.

- Nie?

Zasnął w ramionach Liz, która nie miała serca go budzić. Kiedy usłyszała szcęk klamki u drzwi, jedynie zerknęła w górę.

W oczach Claya malowało się napięcie. Wystarczył jeden rzut oka, żeby Liz dostrzegła, jak bardzo był zdenerwowany i wyczerpany.

- Koniec zamieszania? - szepnęła przyjaźnie.

Wzniósł oczy ku górze, wyrażając zniecierpliwienie, a następnie przeciął pokój, aby podnieść syna. Przez chwilę przyglądał się jej uważnie. Jak błyskawica przemknęło wspomnienie ostatniej nocy. Lecz w chwilę później twarz Claya przyoblekła się w maskę. Liz uświadomiła sobie, jak bardzo był wyczerpany.

Kiedy ruszył w stronę pokoju Spence'a, żeby położyć małego do łóżka, ogarnął ją nagły niepokój. Nie będzie się martwić, powtarzała sobie. Z jakiego powodu? Przeciągnęła się, aby rozprostować kości. Zdrętwiała tuląc zwiniętego w kłębek ośmiolatka. Pomyślała o nowej pracy i o tym, że czekała z utęsknieniem, aby opowiedzieć o tym Clayowi. Wróciły przeżycia ubiegłej nocy, a także myśli o przyszłości. Wbrew własnym chęciom zdecydowała, że nie jest to odpowiednia

pora na podejmowanie rozmowy na ten temat. Clay wrócił i opadł ciężko na tapczan.

- Zakładam, że słyszałaś, co się wydarzyło?

- Tak.

- Niech to diabli. - Wyciągnął nogi, odchylając głowę w tył. - Niezależnie od tego, co sobie myślą w mieście, prowadzę przyzwoity interes. Ludzie przyjeżdżają tu całymi rodzinami, zatrzymują się, jedzą obiad. Ten bar, istotnie, zachęca niektórych, ale nie są to łazęgi, poszukiwacze przelotnych znajomości czy rozrabiaki. Lecz kiedy zdarza się coś takiego jak dzisiaj, uświadamiam sobie po raz setny, że to miejsce nie nadaje się do wychowywania dziecka.

- Spence przewidział, że tak właśnie zareagujesz.

- Jest za sprytny jak na swój wiek.

- Myślę, że ma dobrze poukładane w głowie. To, co miało miejsce dziś wieczorem, mogło się wydarzyć wszędzie - odparła łagodząco Liz. - Daj spokój, Clay. Przestępców można spotkać w najbliższym sąsiedztwie, a zapewne znajdują się i w wyższych sferach Milwaukee albo na cichych farmach w Wisconsin. - Stanęła za nim i delikatnie palcami masowała napięty kark Claya. Wiem, że chciałbyś otoczyć Spence'a opieką, ale nie możesz odseparować go od życia, chyba że masz zamiar wychowywać go na bezludnej wyspie. Poza tym, przywiązujesz zbyt wielką wagę do wpływu otoczenia. Bardzo wiele zależy od wychowania, od wyniesionego z domu sposobu myślenia i reagowania, od umiejętności posługiwania się tak zdobytą wiedzą.

- Tak? Cóż, nie sędzę, żebym mógł pochwalić się znakomitą robotą. Nie, Liz. - Pochylił się. Jej palce zawisły nagle w powietrzu. Wiedziała, że był zmęczony do kresu wytrzymałości.

- Przygotuję dzbanek kawy.

- Nie.

- Wolisz piwo?

- Wolę moment oddechu. To był piekielny dzień.

Kawa nic nie pomoże, tak samo jak twoje wymądrzanie się.

Spojrzał i zaklął pod nosem, dostrzegając wyraz jej twarzy. - Nie myślałem tak. Zaczekaj chwilę.

Na oślepie, nie podnosząc wzroku, sięgnęła po płaszcz. Czowała się upokorzona i odrzucona. - Muszę już iść, naprawdę. Zostałam tylko z uwagi na Spence'a.

- Nie, nie musisz.

- Jestem równie zmęczona jak ty - ciągnęła szybko.

- Bóg mi świadkiem, że mało kto ma taki zły humor jak ja, kiedy się nie wyśpię. Nie mam wtedy za grosz taktu.

Nie zatrzymywał jej, zanim znalazła się w połowie drogi, a wówczas po prostu stanął, blokując sobą drzwi. Dotknął policzka Liz i starał się szorstką dłonią unieść ku górze jej podbródek.

- Tobie nigdy nie może zabraknąć taktu, tak jak woda nie może się przemienić w ogień. Spójrz na mnie, słoneczko.

W oczach stanęły jej łzy. Ileż godzin musiał spędzić na nogach? A ona przecież nie należała do kobiet, które się załamują. Chociaż po ostatniej nocy była pewna ciepłego powitania. Była przekonana, że jej potrzebuje właśnie teraz, kiedy jest zmęczony i zestresowany.

Clay spoważniał, ciemne oczy zapadły się i spochmurniały.

- Podobało mi się to, co powiedziałaś. I to, że byłaś, kiedy przyszedłem. Akceptuję fakt, że Spence sądzi, iż świat obraca się wokół ciebie i nie umiem

nawet sobie wyobrazić, abym kiedykolwiek mógł zapragnąć innej kobiety niż ty, słoneczko.

- Och, Ciay.

Potrząsnął głową.

- Lecz jeśli przypuszczasz, że mógłbym cię znowu wykorzystać... Nie. - Powtórzył: - Po prostu nie, Liz.

- Wykorzystać...

- Nie patrz tak. Właśnie to wydarzyło się ostatniej nocy. Oboje to wiemy. Ty miałaś... taki nastrój. Być może, za każdym razem, kiedy znajdę się obok ciebie, wróci ten nastrój i doprowadzi do tego samego. Do kochania się. Do odkrycia, jak to właściwie ma być pomiędzy nami.

Wyszukiwała potrzebne słowa z niebywałą trudnością. - I co odkryłeś?

- Odkryłem, że jesteś niewinna, wrażliwa, delikatna, że chcesz dużo dać. Ale to nie dla mnie. Bo zrozumiałem także uczucie, z jakim się budzę, wiedząc, że cię wykorzystałem. Choć jesteś mi droga, choć mi zaufałaś. Wszystko, co się zdarzyło... Przyjrzałem się własnemu życiu... - Potrząsnął głową. - Idź do domu, Liz.

- Clay, kiedy dzisiejszy dzień zmienił się w ponury koszmar?

- Kiedy odejdziesz, mam zamiar posadzić Camerona u Spence'a, a sam zejdę do baru. Znasz śpiewaczkę, która tam pracuje, Char. Ona właśnie należy do takich kobiet, z jakimi do tej pory miałem do czynienia, Liz. Każdy przestaje z podobnymi sobie. Dwukrotnie znalazła się w trudnej sytuacji, i do diabła, ja też. Tak więc...

Nie chciała słuchać tego ani chwili dłużej.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Liz zawinęła w gazetę kolejną szklanekę, a następnie włożyła ją do pudła. Nigdy nie lubiła tych szklanek. Obok kredensu stał biały telefon. Liz tkwiła w Milwaukee już dziesięć dni. Dostatecznie długo, aby uregulować sprawy zawodowe i finansowe, i zająć się poszukiwaniem lokatora oraz spotkać ze starymi przyjaciółmi. Zdażyła rozpocząć przygotowania do wyprowadzki na stałe, a ten przeklęty telefon nie dzwonił.

Rzecz nie w tym, że spodziewała się telefonu od Claya. Niewątpliwie miał mnóstwo rzeczy na głowie, motel, restauracja, Spence, a także życie osobiste.

Mężczyźni! Przełożyła plenery na wierzch drugiego pudła, gdzie leżały już jakieś sztuczce. Żółty tapczan i krzesła sprzedała od ręki. Obrazy i książki były już spakowane, gotowe do przewozu do Ravensport. Gdyby nawet musiała zostać parę dni, żeby załatwić ostatnie sprawy związane z przeprowadzką, potrzebowała co najwyżej jakiegoś łóżka oraz trochę naczyń.

Porzuciła sztuczce i przeszła przez niemal pusty salon do sypialni.

Gdy po rozwodzie wprowadziła się do tego mieszkania, szukała schronienia, aby ukryć się przed życiem i lizać rany. Tak minął rok, w przygnębieniu i powracającym poczuciu winy. Musiała wrócić do rodzin-

nego domu w Ravensport, żeby samej sobie wybaczyć, żeby się podźwignąć i przestać samooskarżać. Powinna wyciągnąć nauczkę z popełnionych błędów. Chciała zmienić swoje dotychczasowe życie, nauczyć się szczerości wobec samej siebie i przekonać, że jest jeszcze zdolna do miłości. Liz zetknęła się parę razy z Char. Była ładną kobietą, o wyzywającym uśmiechu, ale nie grzeszyła nadmiarem inteligencji. Clay wyraźnie jej się podobał. Chciał za wszelką cenę usunąć Liz ze swego życia. Dostosowała się do jego życzenia. Spojrzała na telefon, który nadal milczał i zabrała się do pakowania. Tym razem puszek z żywnością. Trzy puszki pomidorów, trzy grzybów. Co zrobić z ośmioma puszkami francuskiej cebuli?

Ostatnie pytanie - co robić - rozbrzmiało echem w głowie Liz. Ileż pomyłek popełniła w stosunku do Claya. Ale żadna nie dorównywała jego błędom. Wypowiedziane przez niego słowa wracały. Znajdziesz właściwego mężczyznę, Liz. Porządnego mężczyznę. I na koniec ten nonsens o wykorzystaniu jej...

Wszystko dawało się wytłumaczyć. On się zaliczał do mężczyzn, którzy nie wybaczą sobie żadnych poważnych, nawet przez nich nie zawinionych, błędów. Wciąż nie uzmysławiał sobie, jakie ważne są w życiu uczucia, nadal nie chciał wierzyć w siebie. Liz przerabiała już tę lekcję wcześniej.

Jeszcze tylko ciastka oraz galaretki owocowe i koniec pakowania. Przeciągnęła się, następnie podeszła do telefonu. Osiem wciśnień i usłyszała sygnał. Jeden, drugi. Niewinne kłamstewka wcale uczciwości nie podważają. Trzeci, czwarty. Szczerze mówiąc, kłamstwa są czasami niezbędne. To znaczy, kłamstwa nie są niezbędne, ale miłość jest, i o to właśnie w całej tej

sprawie chodzi: o świadomość tego, co naprawdę ważne, o podjęcie ryzyka oraz walki, kiedy okazuje się to niezbędne. Jeszcze jeden raz. Tylko raz. Ostatnia próba, Clayu Stewarcie. Jestem tak bardzo samotna, a ty mnie kochasz. Piąty sygnał, szósty - odetchnęła z ulgą, gdy podniesiono słuchawkę.

- Andy? Tu Liz. Słuchaj, braciszku, chciałabym cię prosić o przysługę...

Małżeństwo.

Na międzystanowej autostradzie numer 43 każdy zdawał się myśleć, że to czas wakacji. Clay znów wyprzedził kolumnę niedzielnych kierowców i przycisnął pedał gazu. Dojeżdżając do przedmieść Milwaukee, z trudem panował nad zdenerwowaniem. Na dodatek nie znał miasta.

Kiedy zatrzymał się na świetle, zyskał parę sekund, żeby - zerkając co chwila we wsteczne lustro - poprawić nieco swój wygląd. Garnitur, którego używał wyłącznie z okazji ślubów i pogrzebów, prezentował się nieźle. Ciemnoniebieskie ubranie nadawało mu wygląd człowieka pewnego siebie, chociaż pognieciona koszula pozostawiała wiele do życzenia. Chyba musiał poluzować krawat, bo węzeł wyraźnie się przekrzywił. Włosy sprawiały wrażenie uczesanych palcami, zaś grzebień, spoczywający zazwyczaj w tylnej kieszeni, znikł. Clay doprowadził się do jakiegoś takiego porządku, zanim skręcił w dół ulicy Merriweather. Ulicy Liz.

Małżeństwo.

3421, Merriweather. Odszukał adres bez trudu. Najbliższe wolne miejsce do parkowania znajdowało się dalej. Krótki spacer pozwolił pozbyć się ponurego

grymasu i przeciwzyć obojętny, spokojny wyraz twarzy. Taki właśnie przybrał rano, kiedy wpadł Andy z nadzwyczajną nowiną i później, gdy oszołomiony Spence zapytał:

- Tato, dlaczego wkładasz garnitur?

Spence potrafił stawiać szczególnie irytujące pytania. Clay sam nie wiedział, dlaczego sięgnął po garnitur. Mężczyzna wpada czasem w taki nastrój, ot i wszystko. Mężczyzna lubi też czasem gnać autostradą jak szalony. Masz być spokojny, przyjazny, troskliwy, rozsądny. Przypadkiem znalazłeś się tego popołudnia w Milwaukee i dowiedziałeś się, że ona wychodzi za mąż. Clay otworzył drzwi, wszedł do jasno oświetlonego holu wyłożonego ciemnoczerwonym chodnikiem. Drzwi z numerem 3421 znajdowały się w odległym końcu korytarza na drugim piętrze. Dzień był mroźny, lecz Clay czuł gorąco. Miał wyschnięte gardło, mętlik w głowie, a koniuszki palców sine, lodowate i drżące.

Przejechał palcami po włosach, następnie zapukał. Do diabła, pukaj, nie wal. Jesteś zupełnie spokojny. Miał ochotę rozwalić drzwi, bo nie otworzyły się natychmiast. Wreszcie klamka poruszyła się.

- Clay!

Kiedy indziej być może zauważyłby, że powinna być jednak bardziej zdziwiona. Ale w tym momencie pochłonął go bez reszty jej widok. Liz stała boso. Stare dzinsy obciskały szczupłe biodra, a cała figura tonęła w luźnym, workowatym, żółtym swetrze. Miała potargane włosy, była bez makijażu. W oczach tańczyły iskierki, wargi rozchyliła w miłym, powitalnym uśmiechu. Sprawiała wrażenie wypoczętej, spokojnej, szczęśliwej.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko nie-

spodziewanej wizycie? Musiałem przyjechać do Milwaukee, więc pomyślałem, że wpadnę.

- Wspaniale, wchodź! Chociaż muszę przyznać, że w mieszkaniu jest bałagan. Ugrzęzłam w połowie pakowania. Nie zwracaj na to uwagi. Mam dzbanek gorącej kawy.

- Cudownie - odparł z entuzjazmem. Dobrze, że nie zapytała go, po co przyjechał do Milwaukee. Nie miał pojęcia, co by odpowiedział. W tej chwili nie chciał w ogóle mówić. Pragnął jedynie zanurzyć dłonie w jej złotych włosach i ustami zetrzeć jej opanowany uśmiech.

- Przeprowadzka to potworny rozgardiasz. Spędziłam tu zaledwie rok, a ile niepotrzebnych rzeczy nagromadziłam.

Poszedł za nią do ciasnej kuchni. Stała na palcach, sięgając po dwa kubki. Widok kształtów Liz sprawił, że mięśnie jego ud i pośladków naprężyły się. Zaciskał szczęki cały czas, póki się nie odwróciła. Z uśmiechem wręczyła mu kubek parującej kawy.

- Słyszałem, że wychodzisz za męża - powiedział lekko. Czuł się jak Święty Mikołaj, roztaczający wokół siebie aurę dobrego nastroju.

- Owszem. Andy ci mówił?

- Wspominał. - Łyknął kawy i odstawił kubek na blat. Miał do wyboru: albo go odstawi, albo rozbije. Zaśmiała się nagle beztrąsko.

- Clay, obawiam się, że jeśli tego wreszcie nie zrobię, to nigdy nie zamknę całej sprawy.

- Świetnie, świetnie. Kończ zawsze wszystko, co zaczynasz. Jaki on jest?

- Kto?

- Mężczyzna, za którego zamierzasz wyjść.

- Och... - Wyciągnęła szufladę, która w każdej kuchni służy do trzymania wszelkich potrzebnych i niepotrzebnych rzeczy. Prześlizgnęła się koło pudeł, szukając właściwego, po czym zaczęła napychać je otwieraczami, młotkami, śrubokrętami, ołówkami, kluczami oraz korkociągami. - Jest wspaniały, Clay, będzie ci się bardzo podobał.

- Wróciłaś tu zaledwie na jedenaście dni. - Plus dwanaście godzin, trzydzieści siedem minut, dodał w myślach.

- Ale znałam go przedtem - odparła wesoło Liz

- Jak długo?

- Całe lata.

- Pięknie. Bardzo pięknie - rzekł Clay. - A cóż on, do diabła, robi?

- Pytasz, z czego żyje? Pracuje. Jest wspaniały, wrażliwy i bardzo się troszczy o innych. Człowiek, który budzi szacunek.

Zniknęła. Poszedł za nią. Układała w pudłach resztę drobiazgów. Sypialnia była niewielka. Pozostało w niej tylko mosiężne łóżko. Popatrzył na zmięte prześcieradła.

- Jak się ma Char? - zapytała pogodnie Liz.

- Jaka Char?

Pochyliła się, aby opróżnić szuflady i jedyne, co mógł robić, to przyglądać się jej wypiętym pośladkom, plecom, włosom opadającym na policzki.

- Czy nie wydaje ci się... - pohamował wzbierający gniew, odchrząknął, podjął znowu. - Czy nie wydaje ci się, że zdecydowałaś się na małżeństwo nieco zbyt pośpiesznie?

- Chyba nie, Clay. Jak ci powiedziałam, znaleźliśmy się na długo przedtem, niemal od zawsze. - Obróciła się na

pięcie na jedną krótką chwilę, a jej oczy rozmarzyły się.

- Przeczuwałam, że on jest mężczyzną, z którym chciałoby się mieć dzieci i dożyć starości. On jest taki dobry, Clay. Najlepszy ze wszystkich. To mężczyzna z gatunku tych, którym można powierzyć swoje życie.

- Szałowy - warknął Clay.

- I potrzebuje mnie. - Zwróciła ku niemu twarz z uśmiechem. - To taki mężczyzna, który stanie przy tobie w każdej sytuacji, ale, co ważniejsze, sprawia, że czuję się przy nim kobietą.

- Cieszy mnie to.

- Wiedziałam, że tak powiesz.

- Nie mógłbym cieszyć się bardziej - wykrztusił.

- Wiesz? - odezwała się łagodnie. - Byłam pewna twojej reakcji. Mówiłeś, że znajdę kiedyś właściwego mężczyznę, a on jest taki cudowny, Clay.

Coś się w nim załamało. Nigdy by nie pomyślał, że jest w stanie potraktować Liz obcesowo, wcale zresztą nie zamierzał tak postąpić, ale nagle jego ręce zacisnęły się gwałtownie na jej ramionach, przyciągając Liz bliżej. Jedną ręką opasał jej kark, drugą przesunął po ciele w dół, a usta domagały się jej warg. Ich zetknięcie eksplodowało ogniem. Jej usta poddały się, zupełnie jakby zawsze należały do niego. Wchłaniał jej zapach, jej smak. Zakręciło mu się w głowie. Ścisnął Liz mocno, choć wiedział, że będzie miała potem sińce, ale nie potrafił się pohamować. Dręczył go straszliwy ból.

Poczuł jej palce we włosach, małe piersi, oparte o jego pierś, przepływ namiętności. Z wysiłkiem uniósł głowę, wydobywając z siebie chrapliwy głos:

- Myślisz, że ten twój mężczyzna rozpali w tobie kiedyś taki ogień?

- Zawsze... - Nie mogła złapać tchu. - Zawsze, kiedy mnie dotknie.

- Nie. - Wyrwał z siebie głucho, rozpaczliwe przeczenie.

- Zawsze - powtórzyła jak echo. - A ty powinienes o tym wiedzieć, Clay.

- Co?

- Mówię, że powinienes wiedzieć. Bóg mi świadkiem, nigdy nie byłam w stanie utrzymać rąk z dala od ciebie dłużej niż dwie minuty i to odkąd spotkałam cię po raz pierwszy. - Clay sprawiał wrażenie kogoś zupełnie zagubionego, zrozpaczonego, przestraszonego.

- Słoneczko...

- Przestań nazywać mnie słoneczkiem! - Powiedział jej wszystko, co chciała wiedzieć na temat uczuć Claya Stewarta do Elizabeth Brady. Jeśli nawet serce miała wypełnione po brzegi szczęściem, to ręce jej się trzęsły. Nie z obawy czy niepewności, ale z furii.

- Przez długi czas uważałeś, że nie dojrzałam do samodzielności. Że potrzebuję kogoś, kto by mnie bronił przed podejmowaniem błędnych, impulsywnych decyzji. Że jestem niezdolna do sformułowania rozumnego sądu. - Szturchnęła Claya w pierś. - Pozwól powiedzieć sobie parę słów. Potrafię świetnie oceniać, szczególnie mężczyzn. Zgoda, raz się wygłupiłam. Nie jestem doskonała, ale naprawdę potrafię rozpoznać właściwego mężczyznę, jeśli już go spotkam. Nie lubię przegranych, Clay. Życie jest piekielnie krótkie, nie mogę go zmarnować. Ani mi w głowie wiązać się z kimś innym niż jednym wybranym mężczyzną, tym najlepszym. Najwyższa pora, żebyś to wreszcie pojął i, na miłość boską, nie próbuj ze mną dyskutować!

- Liz... - Wielkie nieba, któż mógłby przypuszczać,

że brązowooki anioł umie zmienić się w taką jędzę? Jego słoneczko straciło nieco panowanie nad sobą. Łzy kapały jej z oczu. Wymachiwała dziko rękami. Szlochała.

- Jeszcze jedno...

Clay nie miał czasu na „jeszcze jedno”. Nieomal stracił jedyną kobietę, która w niego uwierzyła. Przyszedł tutaj, aby nie dopuścić do jej zamażpójścia. Nie było to zbyt uczciwe, szczególnie gdyby znalazła odpowiedniego mężczyznę. Mniejsza z tym. Uczciwość i Clay Stewart nigdy nie byli zbyt wielkimi przyjaciółmi. Wreszcie zrozumiał, że żaden inny mężczyzna nie istnieje.

Nie mogło być żadnego innego.

Jego usta dotknęły jej warg, a palce zsunęły się w dół, do zapięcia dżinsów. Serce Liz waliło równie szybko, jak jego serce. Był podekscytowany i bardzo się bał, że nie zdoła postępować powoli, cierpliwie, czule, w taki sposób, w jaki trzeba się kochać z Liz.

Musiał być stanowczy, aby zrozumiała, że rozpaczliwie ją kocha. Że rozpaczliwie jej potrzebuje.

Nie mógł, nie wolno mu było kiedykolwiek jej ulegać. Nieważne, czy to dobre, czy złe, słuszne czy niesłuszne, nie mógł, po prostu nie mógł. Próbował już działać stanowczo, ale nigdy nie był równie zdeterminowany. Zsunął dżinsy z jej ud i łydek. Ściągnął sweter. Nagle miał ją przed sobą.

Niezdarnie rozpięła mu guziki, zdejmowała marynarkę, mocowała się z paskiem. Mimo szorstkiego nacisku jego ust, zuchwałości języka, czuła, jak trzęsą mu się ręce, a całe ciało dygoce pod jej najlżejszym dotknięciem. Twardy, opiekuńczy mężczyzna zatracił

się. Wytrawny kochanek zapominał o swoich kwalifikacjach.

Chciała, żeby ją przykrył swoim ciężarem. Pragnęła całować go wszędzie, aż straci zdolność myślenia, aż przestanie wątpić w nią, w siebie, w ich miłość. Chciała mieć go w sobie. Ale czy on chce?

- Pozwól mi - szeptała bez opamiętania.

Jego ręce błędziły po jej ciele. Ułożył ją na materacu. Gorące, natarczywe usta gniotły jej wargi. Gładziła jego pierś. Jej biodra wyginały się przyzwyczajająco. Wargi Clay'a zsuwały się niżej, natknęły się na zapomniany koronkowy stanik. Ściągnął go, odrzucił w bok, odnajdując wargami wrażliwość białych piersi, naprzężonych i stwardniałych od pożądania.

Kochał ją. Zsunął się ustami na jej gładki, płaski brzuch i poczuł, jak gwałtownie uchwyciła go palcami za włosy, kiedy samowolnie zabłądził *niżej*. Uwielbiał wzgórek miodowych włosów i całe jej ciało. Musiał zyskać pewność, że Liz o tym wie. Przekonać ją, że żywi do niej prawdziwą miłość.

- Chodź do mnie, Clay. - Ponagliła go szeptem, pocałunkami, muśnięciami palców. Jej bardzo silny, twardy męczyzna miał oczy niczym lśniąca diamenty. Zagarnęła go w siebie.

- Uwielbiam cię, słoneczko.

- Nie uwielbiaj - wyszeptała. - Kochaj. Po prostu kochaj mnie bez przerwy.

Jego wargi tyle obiecywały. Nagle pokrył całą jej twarz szybkimi, czułymi pocałunkami. Z jego ust płynęły słowa o tym, jak ją kocha i o tym, jak jej potrzebuje, i o straszliwej obawie, że mógł ją utracić. Próbowwała coś mówić, ale nie zdołała.

Uniosła biodra, żeby dopasować ruchy własnego ciała do jego ruchów. Odwieczny rytm był jak unoszenie się w przestworzach, jak podróż ku ekstazie.

Jej serce już nigdy nie będzie bić inaczej. Z zamkniętymi oczami, z ramionami wokół jego rozgrzanego ciała, zastanawiała się, czy to serce zamierza kiedykolwiek zwolnić. Clay spróbował się przesunąć, ale objęła go ciaśniej.

- Ani mi się waż ruszyć - wyszeptała.

- Jestem za ciężki.

- Nie, nie jesteś.

- Słoneczko... - Odsunął nieco głowę. Światło dnia tańczyło po ciele Liz, przydawało intymnego blasku skórze, którą tak bardzo kochał. - Będziesz musiała za mnie wyjść.

Otworzyła oczy i przechyliła głowę.

- Tylko nie to - szepnęła. - Nie chcę losu gorszego niż śmierć. Nie...

Uśmiechnął się szeroko, odprężony po raz pierwszy od mniej więcej jedenastu dni, trzynastu godzin i czterdziestu siedmiu minut. Uśmiechał się do tej bezwstydnicy, nad którą się pochylał. Pocałował ją gwałtownie. Odpowiedziała z żywiołowym entuzjazmem. Chciał otrzymać odpowiedź.

- Powiedz: tak - zażądał.

- Czy popracujesz nad swoją nadopiekuńczością?

- Tak.

- Czy dotarło do ciebie nareszcie, że jestem wyjątkowo inteligentną, zdolną, piękną kobietą, która wie, co robi z własnym życiem?

- Kochanie, wiedziałem o tym dużo wcześniej.

- Czy pojąłeś wreszcie, że jesteś najbardziej wyjątk-

kowym, kochającym, troskliwym, spostrzegawczym mężczyzną, jaki kiedykolwiek istniał? - Ściszyła głos. - Do diabła, Clay, musisz to pojąć. Każdy robi błędy. Z twoich wynikało więcej pożytku niż szkody. Dojrzałeś. Zmieniłeś się.

- Zawdzięczam to tobie. Dawno temu pewna dziewczynka z warkoczykiem uwierzyła, że jestem lepszy, niż byłem. Więc musiałem spróbować takim właśnie się stać.

- Nie. Zawdzięczasz to samemu sobie. Bo jesteś najlepszy.

- Kochanie, powiedz po prostu: tak, zanim nie oszaleję.

- Będziemy mieli samych chłopców - odparła wymijająco Liz. - Gdybyśmy mieli dziewczynki, jeszcze zanim by wyrosły z pieluszek, umieściłbyś je w klasztorze. Bo inaczej ty oraz Spence rozpuścilibyście je do tego stopnia, że nikt nie mógłby z nimi wytrzymać. Tylko chłopcy, Clay.

- Słoneczko, jeżeli nie powiesz: tak w ciągu następnych trzech i pół sekundy... - Zmarszczył brwi, starając się wymyślić dostatecznie przerażającą groźbę. Spojrzenie Liz - zaintrygowane i wyczekujące - bynajmniej mu w tym nie pomagało.

Dotknęła jego policzka, gładząc palcami ostry zarys szczęki. Clay był mężczyzną, który potrzebował opiekunki, przemknęło jej przez myśl. Silni mężczyźni są najbardziej wrażliwi. Musi bardzo na niego uważać przez następne tysiąc lat. Sporo wysiłku musi włożyć w to, żeby on w siebie uwierzył. Była przekonana, że wiele czasu upłynie, zanim Clay przestanie otaczać nadmierną opieką wszystkich, których kocha. Będą ze sobą walczyć. Często. Będą błądzić, ale teraz już

się błędów nie obawiała. Ludzie nie mogą dorastać i zmieniać się, jeżeli nie potykają się czasem, nie zaznają niepowodzeń.

- Elizabeth.

Przesunęła nad nim nogę, opadając nań całym swym ciężarem. Uśmiechnęła się, kiedy poczuła, jak on reaguje na jej dotyk. Łokcie oparła po obu stronach twarzy Claya, obdarzając go królewskim pocałunkiem. A jego dręczyła straszliwa myśl, że być może dawniej było lepiej, kiedy Liz, podkochujący się w nim podłotek, wielbiła go niczym bohatera. Uśmiechała się po kobiecemu. Znała go aż za dobrze. Doskonale zdawała sobie sprawę, jakim był mężczyzną, a przecież wyglądało na to, że naprawdę go kocha. Cóż mu innego zostało? Przytulił ją.

- Kocham cię, Clay.

Minę miał zadowoloną, niczym kot na widok śmietanki, ale wstrząsnął głową w udanej rozpacz. Przesunęła się bliżej i ugryzła go w plecy, w sposób absolutnie nie licujący z zachowaniem damy.

- Kochanie - zapytał zdesperowany, - czy nie mogłabyś powiedzieć wreszcie: tak, nim zapomnę pytania.'

- Między nami nie ma żadnych pytań, najdroższy.

- Jeśli nawet...

- Tak. Tak. Tak. Tak. Tak.